

OPAT.  
ROMANS  
WALTERA-SKOTTA.

PRZEŁOŻONY

przez

F. S. DMOCHOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

WARSZAWA.

W Drukarni przy ulicy Elektoralfnej Nr. 795

nakładem Teómacza

1830.

OPAT.

ROMANS

WALLERA-SKOTTA.

PRZEŁOŻONY

PRZEZ

F. S. DUCHOWSKIEGO.

*Zapozwoleniem Cenzury.*

TOM DRUGI.

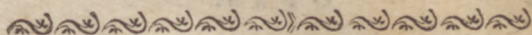
WARSZAWA.

WARSZAWA.

W Drukarni przy Cioły Kierownicy Nr. 795

WARSZAWA.

1836.



# OPAT.

---

## ROZDZIAŁ I.

Co widzę? jeszcze Dagon na ołtarzu stoi?  
Jan mniemał, że już w prochu zdruzgotany leży:  
Więc dla niego ostatnia godzina uderzy.  
Héy! podaycie mi topór; żelazem go zuiszczę  
A ogień wkrótce strawi wielbione bożyszcze.  
*Athelstan, albo Duńczyk nawrócony.*

Roland Groemes spał długo i snem głębokim; i już słońce wysoko na niebie się wzbiło, gdy go obudziła Magdalena, do podróży wzywając. Wstał, ubrał się na prędcę, pośpieszył do niéy, i zastał ją na progu, gotową do drogi. Ta nadzwyczajna kobieta, okazywała we wszystkiém stałość nieugiętą.

i szybkość w wykonaniu przedsięwziętych zamiarów: przymioty biorące źródło w entuzjazmie iey duszy, który zdawał się czynić ją wyższą nad uczucia i słabości ludzkie. Jeden tylko połysk namiętności ziemskich błyszczał niekiedy w iey duszy, iak ieden promień słońca, na chwilę przedzierający się przez chmurę w śród burzy; — była to macierzyńska miłość dla wnuka, miłość posunięta nawet do śmieszney przesady, w każdym razie gdy nie chodziło o religią katolicką; lecz głuchą stawała się na głos teyże miłości wtenczas, gdy była na zawadzie przedsięwziętym zamiarom i powinnościom które uważała za święte. Chętnieby oddała życie za ten wyłączny przedmiot swego przywiązania ziemskiego; lecz gotową była narazić dni ukochanego dziecięcia i poświęcić ie nawet gdyby tego była potrzeba, dla zapewnienia tryumfu wiary katolickiey w Szkocyi.

Przez całą drogę, wyjąwszy okoliczności w których rozwiała się ię macierzyńska czułość, iużto gdy okazywała niespokoyność o iego zdrowie i znużenie, iużto gdy starała się zaspokoić wszystkie iego potrzeby: mówiła z nim tylko o podźwignieniu przygnębionego kościoła i przywróceniu na tron katolickiego władzcy. — Niekiedy dawała mu do zrozumienia, chociaż w sposobie bardzo nieiasnym i nawiasowym; że ią samą przeznacza niebo do działania w tym wielkim zamyśle; że ieżli z taką gorliwością podejmie tę pracę, czyni to iedynie dla tego, iż ma rękoymię wyższą niż ziemską, że osiągnie cel zamierzony. Lecz wyrażała się w tym względzie w słowach tak ogólnych i dwóyznacznych, że trudno było zgadnąć, czyli mniema że ią powołał głos nadziemski, iak sławną Elżbietę Barton, zwaną powszechnie Mniszką Kentu, czy też mówi iedy-

nie o powinności wszystkich katolików, którą czuła z nadzwyczajną mocą.

Chociaż Magdalena Groemes nie okazywała iawnéy pretensyi aby ją uważano za kobietę wyższą nad pospólitych ludzi, przecieź postępowanie iednego czy dwóch podróżnych, napotkanych na drodze gdy przebywali ludnieyszą część doliny, zdawało się wskazywać, iż uważali ją za istotę wyższemi przedmiotami obdarzoną. Prawda że dwóch wieśniaków pędzących trzodę, kilku mieszczan spieszących na hulankę, żołnierz dążący za swoim pułkiem, student idący ze szkoły iak: to okazywała suknią czarna i paczka książek pod pachą, przeszli niezważając na nią, lub rzucając pogardliwe weyrzenie i że kilkoro dzieci rozśmieszonych dziwną postawą i ubiorem Magdaleny, który iak mówiliśmy zbliżał się bardzo do ubioru pielgrzyma, leciało, za niemi przez chwilę,

krzyczało i nazywało ich papistami; przecieź ieden czy dwóch przechodzących którzy ieszcze żywili w głębi serca uszanowanie tajemne dla upadłej wiary, obeyrzawszy się nayprzód w około, z obawy czy ich kto nie postrzeże, czynili znak krzyża Śgo i zginali kolana przed siostrą Magdaleną, całując iéy rękę i kray iéy szaty, za co odbierali z pokorą błogostawieństwo, którym płaciła ich hołdy. Podnosząc się potem i trwoźnie oglądając się na wszystkie strony, ruszali w dalszą podróż; niektórzy nawet z nich odważyli się, chociaż w obecności wyznawców panującý wóczas Religii, składać ręce na piersiach i z daleka schylać głowę, dla pokazania w cichości, że poznawali siostrę Magdalenę i czcili zarówno iey osobę i zasady.

Nie zaniebdywała okazać swemu wnukowi, tych oznak uszanowania.

— Widzisz mój synu, mówiła, że

nieprzyjaciele wiary nie zdołali zniszczyć prawego ducha i wykorzenić dobrego ziarna.— Pośród kacerzy, wrogów kościoła i bluźnierców świętych pańskich, znajduią się prawowierni.

— Masz słuszość, matko, odpowiedział Roland, lecz zda mi się że ich tak mała jest liczba, że niewiele się można spodziewać od nich pomocy. — Czyż nie widzisz że ci wszyscy którzy noszą oręż przy boku, lub którzy zdają się do wyższego stanu należeć, przechodzą koło nas iak około nayneździńszych żebraków, i że ci wszyscy którzy okazują nam iakoweś uszanowanie, są to ludzie pogrążeni w nędzy, nie mający chleba dla podzielenia go z nami, ani oręża dla niesienia nam pomocy, ani nakoniec talentu dla usłużenia nam, gdyby nawet chcieli: na przykład ten biedak, który z taką pobożnością klęka przed tobą, na którym wiszące łachmany okazują nay-



większą nędzę, a żółtość i bladość twarzy niemoc i chorobę, iakże może stać się użyteczny wielkim twoim zamiarom?

— Jak może być użytecznym mój synu? rzekła Magdalena, z umiarkowaniem którego nie spodziewał się Roland: gdy ten syn pobożny odprawi pielgrzymkę do Świętego Ringana, przedsięwziętą z méy porady i wróci uleczony ze wszystkich boleści, pełen siły i zdrowia, nagroda którą za wiarę swoją otrzyma, czyliż nie przemówi silniéy do uszu złudzonego ludu Szkockiego, niżeli głos tysiąca mówców?

— Bez wątpienia matko, a iednak nie iestem bez obawy; gdyż od dawna iuż nie słyhać o żadnym cudzie zdziałanym przez Świętego Ringana.

Stara spojrzła mu w oczy i głosem drżącym od wzruszenia krzyknęła: — Jestżeś tak nieszczęśliwym że wątpisz o władzy tego Świętego?

— Nie matko, odparł szybko młodzieniec; wierzę w to wszystko w co wierzyć nakazuje Kościół i nie wątpię o władzy Świętego Ringana, lecz można powiedzieć że od nieiakiego czasu nie chciał żadnego cuda ukazać.

— J czyż zasłużył na nie ten kraj nieszczęśliwy? rzekła Magdalena podważając krok i zatrzymując się na szczycie wzgórza. Tutaj, rzekła, są granice włości opactwa Świętęj Maryi; na tym wzgórzu, z kądem oko pielgrzyma doyrzec może ten starożytny klasztor, światło państwa, siedlisko świętych, grób monarchów, wznosił się krzyż, rękoymia naszego zbawienia. Gdzież się podziało to godło naszey wiary? Widać tylko szczątki po ziemi rozproszone, a może iaką iego część wzięto na światowy użytek. Rzućmy okiem na wschód, gdzież uyrzemy tę dzwonnice którą codzien

słońce przy wschodzie i zachodzie zło-  
ciło swemi promieniami? czyliż usły-  
szemy błogostawione dźwięki wzywa-  
jące wiernych na modlitwę? Wszystko  
zniszczone iak gdyby poganie lub  
barbarzyńcy kray napadli. J iakichże  
cudów można oczekiwać od świętych  
których zgwałcono ołtarze i obrazy,  
icżeli nie cudów zemsty? Dopókiż  
odwlekać ie będą? Wzniosłszy o-  
czy do nieba, zamysliła się przez chwile;  
i z nowym entuzjazmem zawołała:  
Nie niema stałego na téy ziemi; radość i  
smutek, tryumf i zniszczenie, następu-  
ją po sobie iak światło słońca i chmu-  
ry; krzew winny nie będzie zawsze de-  
ptany, niepłodne gałęzie odetną i  
wrzucą w ogień, lecz powstałe wznio-  
są się i owoc wydadzą. Jeszcze dziś,  
nawet w téy chwili, spodziewam się  
ważne usłyszyć wiadomości. Jdźmy  
więc, nie zatrzymując się: czas iest  
krótki, sąd niemylny.

Udała się więc drogą do opactwa wiodącą, po której niegdyś rozstawione krzyże na wzgórzach, wiodły pielgrzyma; lecz teraz obalono wszystkie te święte znaki. Po półgodzinnéj podróży stanęli przed wspaniałym klasztorem, który nie uszedł zupełnie wściekłości ducha czasu, lubo kościół oszczędzono aż dotąd.

Cele mnichów po dwóch stronach wielkiego podwórza stojące, zgorzały. Wnętrze przedstawiało stos gruzów, a mury iedynie grubością i ogromem oparły się płomieniom. — Mieszkanie Opata zajmujące trzeci bok podwórza było ieszcze zamieszkałe, służyło za schronienie braciom pozostałym w Kennaquhair, ia których obecność zaledwo tylko cierpiano. Jch piękne ogrody, wspaniałe budowy, obszerne sale, przedstawiały ślady zniszczenia, i mieszkańcy z okolic, niegdyś lennicy o-

packwa, nie wahali się wybierać z po-  
śród gruzów, materiałów potrzebnych  
do naprawy swych mieszkań. — Ro-  
land widział ułomki kolumn goty-  
ckich z najpiękniejszą rzeźbą, podpie-  
rające dach nędznej chatki; a nie ie-  
den posąg służył za próg obory lub  
stajni. Kościół mniej ucierpiał niż  
inne części opactwa. Lecz wszystkie  
posagi i obrazy świętych były potrza-  
skane przez odszczepieńców; którzy u-  
ważając je jako przedmiot czci bałwo-  
chwalczy, mało się troszczyli o to, że  
niszczą zarazem piękne zabytki ar-  
chitektury i rzeźby. Antykwaryusz ża-  
łowie tego zburzenia pod względem  
sztuk; ale Magdalena Groemes poglą-  
dała na nie jako na czyn bezbożny,  
wzywający kary niebios; i jej wnuk  
w téj chwili podzielał jej myśli. —  
Przecież ani on ani ona, nie objawili  
tego w słowach co się w ich umyśle  
działo; lecz ich oczy i ręce wzniesione ku

niebu wyrażały ich uczucia. — Roland zbliżył się do wielkich drzwi kościelnych, lecz go przewodniczka wstrzymała.

— Te drzwi są zabite oddawna, rzekła ona, aby nie wiedzieli heretycy, że ieszcze są pomiędzy braćmi Panny Maryi, ludzie ośmielający się oddawać Bogu iedyną cześć, która mu jest przyjemną, w miejscu gdzie przodkowie bezbożników zasyłali modły za życia; gdzie ich zwłoki chowano. Chodź za mną w tę stronę mój synu.

— Roland udał się za nią, a Magdalena obeyrzawszy się, czy ich kto nie widzi, (niebezpieczeństwo natchnęło iéy tę przezorność) kazała mu zapukać do małej fórtki. — Lecz pukay z cicha, dodała; po krótkiéy przerwie podczas którój nie odebrano żadnéy odpowiedzi, kazała Rolandowi zapukać po drugi raz; wreście we drzwiach na pół otwartych, ukazał się brat fir-

tyrana, który poglądając z obawą, co są za iedni owi przychodzący ludzie, ukrywał się przed ich wzrokiem. Jaka to różnica od owego dawnego furtyana, co niegdyś ukazując się przybywającym pielgrzymom do Kennaquhair, otwierał im drzwi i mówił tonem uroczystym: *intrate mei filii!* Zamiast tego oycowskiego wezwania, rzekł głosem drżącym:— „Niemożecie weyść w téj chwili; bracia są zgromadzeni w kapitule. Lecz gdy Magdalena Groemes przemówiła do niego z cicha: — Czyż mnie poznaiesz mój oycze? Zmienił ton natychmiast i odpowiedział: — Weydź kochana sestro, lecz weydź szybko, bo oczy złośliwych czuwają nad nami.

Weszli więc, a furtyan zamknąwszy i zaryglowawszy drzwi, prowadził ich przez ciemne i skryte korytarze. — Idąc wolnym krokiem, mówił do Magdaleny po cichu, iak gdy-

by się obawiał, aby ich mury nie słyszały.

— Bracia nasi zgromadzili się szanowna siostró. — Czy w kapitule? — Tak jest, w kapitule dla wyboru opata. Niechaj Niebo wspiera nas! nie uderzą w dzwony, nie zanucą mszy uroczystéj, nie otworzą wielkich drzwi aby lud mógł uyrzéc naszego oycy, i hołd mu złożyć. — Doczekaliśmy tego, że oycowie nasi kryć się muszą z wyborem opata, jak rozbóynicy gdy wzbierają wódza.

— Nie zważay na to mój oycze, odpowiedziała Magdalena: pierwsi następcy Piotra Świętego wybierani byli pod prześladowaniem, nie w salach Watykanu, lecz w podziemiach, w iaskiniach, pod sklepieniami pogańskiego Rzymu. Wyboru ich nie obchodzono wystrzałami armat i ręcznéj broni, przez ucztę i radosne ognie; a zamiast powinszowań składanych



im, odzywał się tylko rozkaz dzikiego pretora lub liktorów ciągnących na męczeństwo oyców kościoła. Z łona takich to prześladowań, wzniósł się niegdyś kościół katolicki, a terażniejszy prześladowania oczyszczą go tylko. I zważaj na to dobrze mój oycze, że w najpiękniejszych czasach opactwa Świętęj Maryi, nigdy tytuł Opata nie okrył większą chwałą nikogo, iaką okryje tego, który podejmie się nosić go w tym czasie ucisku i niedoli. I na kogoż mniemasz, padnie wybór?

— Na kogoż może paść? albo raczej, któż ośmieli się przyjąć tę niebezpieczną godność, jeżeli nie uczeń błogostawionego Eustachego; dobry i odważny oyciec Ambroży?

— Wiedziałam o tém; serce moje objawiło mi to wprzód, niż twoje usta wymówiły jego imie. — Bądź odważnym waleczny rycerzu wiary!

okaż się doświadczonym sternikiem podczas téj burzy mięszaiącyéy wszystkie żywioły. Wróć do walki, wojownik! wznoszący sztandar twego woyska! Weź kiy pasterski, godny przewodniku rozproszonéy trzody!

— Milczenie! moja siostró, milczenie! rzekł furtyan otwierając drzwi do kościoła wiodące; bracia nasi wkrótce nadeydu, uświęcić wybór odprawieniem mszy Świętéy; muszę im towarzyszyć do ołtarza, gdyż iestem razem zakrystyanem, szafarzem i furtyanem: trzy obowiązki naszego przewielebnego domu powierzono niedołężnemu starcowi. To rzekłszy odszedł, zostawił Magdalenę i Rolanda, w téj ogromnéy świątyni, którój budowa świetna, lecz smakowna, okazywała, że ją postawiono na początku czternastego wieku, w epoce, gdy wznoszono najpiękniejsze gmachy gotyckie. — Wszystkie posągi zdobiącyéy wnętrze,

były uszkodzone i obalone, podobnie iak zewnątrz kościoła; nie oszczędzono nawet grobów xiążąt i woioowników. Starożytnie włócznie i orężę, od tak dawna zawieszzone nad grobami walecznych rycerzy, ofiary pobożnych pielgrzymów, ułomki posagów woioowników i dam znakomitych, mięszały się ze szczątkami posagów świętych męczenników i aniołów, które zaiadłość niszczycieli, zwałała na posadzkę kościelną.

To iednak była rzecz naysmutniejsza, że lubo iuż od owego zniszczenia kilka upłynęło miesięcy, oycowie do tego stopnia stracili odwagę, iż nie śmieli uprzątnać tych gruzów, i zaprowadzić porządek i przyzwoitość, coby nie wiele pracy wymagało. Ale przestrach ogarnął ciało niegdys tak potężne; czuiąc, że iedynie przez tolerancyą i nieiaką litość dozwołono im pozostać w ich starożytném mie-

szkaniu, nie śmieli uczynić kroku, któryby można poczytać jako dążący do odzyskania praw starożytnych, i cieszyli się tém przynajmniéy, że wolno im było w cichości wykonywać obrzędy wiary.

Dwóch, czyli trzech najstarszych braci, od niedawnego czasu wypłaciło dług naturze, a miejsce ich spoczynku poznać było można przez to, iż odwalono gruzy dla złożenia ich zwłok śmiertelnych. Kamień grobu oycy Mikołaja przypominał, iż on otrzymał święcenie pod Opatem Ingelranem, o którym tak często powtarzał. Drugi poświęcony był pamiętce oycy Piotra zakrystyana, sławnego przez wodną wycieczkę z widziadłem Avenelu. Nakoniec trzeci najświeższy, zawierał ten tylko napis: *hic jacet Eustahius abbas.* — Nikt nie śmiał napisać ani iednego słowa na pochwa-

łę jego nauki i nie znużonéy gorliwości w obronie religii katolickiéy.

Magdalena czytała porządkiem te pomniki śmiertelności, zatrzymała się iednak naydłużéy nad grobem oycy Eustachego. — Szczęście to dla ciebie, rzekła, niestety! lecz nieszczęście dla kościoła, żeś został powołanym tak wczesnie do dziedziny pokoiu. Niech twój duch wiecznie będzie z nami, święty człowieku. Ośmiel twego następcę, aby szedł w twoie ślady; przeléy w niego twoię odwagę, talenta i gorliwość. Gdy mówiła te słowa, drzwi boczne, wiodące z sali kapituły do kościoła, otworzyły się i oycowie weszli z nowo wybranym naczelnikiem.

Niegdyś był to ieden z nayokazalszych obrzędów dla wiernych. Przerwa, podczas którój miejsce Opata wakowało, była czasem żałoby, albo iak mówili zakonnicy w swym emble-

matycznym ięzyku, czasem owdowienia; lecz odgłosy smutku zmieniały się w pienia radości i tryumfu, skoro nowego przełożonego obrano. Gdy otworzono wielkie drzwi kościoła w téy uroczystéy okoliczności, i gdy się w nich nowy opat ukazał z pierścieniem opackim na palcu, z mitrą na głowie, z krzyżem w ręku, odziany we wszystkie pontyfikalne ozdoby, poprzedzony tłumem akolitów niosących kadzielnice, otoczony orszakiem szanownych zakonników: obecność jego była znakiem dla organów i orkiestry, ażeby zabrzmiało uroczyste *Te Deum*, na które całe zgromadzenie odpowiadało pieniami radości. Jakaż teraz różnica! Siedmiu czy ośmiu starców, obarczonych smutkiem i nieszczęściem, równie iak wiekiem, ze drżeniem nosząc na sobie suknie zakonne, wiodło do ołtarza nowego obranego naczelnika, aby mu przyznać tę godność pośród zwa-

lisk i gruzów. Byli oni iak zbłąkani wędrowcy, obierający sobie wodza w pustyniach Arabii, albo iak rozbitowie ogłaszający kapitana, na nieznaney ziemi gdzie ich los wyrzucił. Ci którzy w czasach spokojnych dobiiaią się o władzę nad innemi, obawiaią się piastować tego urzędowania w chwilach krytycznych nieprzynoszących zaszczytu, gdy władza nadaie tylko uciążliwe pierwszeństwo w narażeniu się na trudy i niebezpieczeństwa, i wystawia nieszczęśliwego wodza na szemrania podległych i napady wspólnego nieprzyjaciela. Lecz ten, któremu tytuł opata Świętęy Maryi poruczono, miał duszę uzdolnioną do wypełnienia powierzonych mu obowiązków. Śmiały i pełen zapału, lecz cierpliwy i szlachetny; szybki w działaniu i gorliwy, ale baczny i roztropny, w innych okolicznościach byłby okazał prawdziwą swoją wielkość.

Zagorzali protestanci powiedzą, że walczył za złą sprawę; lecz ci, którzy utrzymują błąd w szczerości swego serca, zasługują przynajmniej na szacunek i politowanie potomnych; my zaś winniśmy umieścić w ich rządzie, oycę Ambrożego, ostatniego opata w Kennaquhair, ponieważ sami nawet nieprzyjaciele kościoła, musieli szanować jego talenta, a cnoty uwielbiać. Postać szlachetna i okazała nowego opata, dodawała godności obrzędowi ogołocionemu ze wszystkich innych oznak wielkości. Jego bracia czując zagrożające niebezpieczeństwa, przywodząc sobie na myśl dawne dni szczęśliwsze, z twarzą okazującą przestrah połączonej ze smutkiem i zawstyżeniem, kończyli szybko zaczęty obrzęd, iak gdyby obawiając się nowych niebezpieczeństw.

Nie tak się działo z oycem Ambrożyem. Jego rysy wyrażały wprawdzie



głęboką melancholią, gdy postępował  
pośród szczątków tyłu świętości, lecz  
iego czoło było pogodne, chód pe-  
wny i uroczysty. A jeżeli obawa i  
bolesć dręczyły iego nieugiętą du-  
szę, pewno się nie lękał o siebie, lecz  
o kościół, w którego obronie stawał.  
Przybył wreszcie na pokruszone sto-  
pnie wielkiego ołtarza, z bosemi no-  
gami, podług reguły zakonu, trzymając  
w ręku pastorał: ponieważ pier-  
ścieni i mitra ozdobione drogiemi ka-  
mieniami, stały się łupem niszczycieli.  
Korni lennicy nie przychodzili ieden  
po drugim składać hołdu i przysię-  
gi swemu władzcy, ofiarując mu po-  
dług zwyczaju, pięknego konia z sutym  
rzędem. Żaden biskup nie był obe-  
cnym obrzędowi temu, dla przyięcia  
w grono wyższych duchownych, nowe-  
go dygnitarza, który na zgromadze-  
niach kościoła miał równe iemu  
znaczenie. Kilku pozostałych braci

śpiesznie oddało nowemu opatowi pocałowanie pokoju, na znak braterskiego przywiązania i hołdu. Msza nakoniec odprawioną była na prędce, raczém iak gdyby chodziło o zadosyć uczynienie skrupułom młodzieży niecierpliwém spieszyć na łowy, a niżeli iako cześć nayuroczystsza szanowném uroczystości. Kapłan zaiąknął się po kilkakroć i często odwracał głowę, iak gdyby lękał się przerwania zaczętem ofiary, a bracia obecni zdawali się (iakkolwiek krótkim był obrzęd) chcieć ażebym ieszcze był krótszym. Te oznaki przestradchu, powiększyły się przy końcu obrzędu, i okazało się że nie bez przyczyny, ponieważ pomiędzy każdą strofą ostatniego hymnu słyszeć się dawały dźwięki zupełnie różne, z razu dalekie, lecz powoli zbliżające się, i które w końcu zagłuszyły śpiew kapłanów. Odgłos rogów, dzwonków, bębnów, kobzów i

cymbałów, krzyki iużto podobne do wybuchów śmiechu, iużto do ryku wściekłości; cienkie głosy kobiet i dzieci, połączone z chałasem męczyzn, tworzyły zgiełk zagłuszający, który zatłumił uroczyste śpiewy zakonników. Obaczymy w następnym rozdziale, przyczynę i skutek tego nadzwyczajnego napadu.

---

\*\*\*\*\*

## ROZDZIAŁ II.

Ani spienione wody wyparte z swych brzegów,  
 Ani wiatry gdy przerwą powietrzne zapory  
 J rozwieją rolnika pracowite zbiory:  
 Nie dadzą się porównać z tą przewrotną dżieżą,  
 Żartobliwą lecz zgubną, śmieszłą lecz zbrodniczą.

*Spisek.*

Zakonnicy przestali śpiewać, a pie-  
 nia ich iak owych chórystów w Le-  
 gendzie czarownicy Berkley, zakończy-  
 ły się krzykiem przestachu. Jak nie  
 raz zdarza się widzieć na podworzu,  
 gromadę młodych kurcząt, przerażo-  
 nych widokiem jastrzębia, uciekaiącą  
 z razu, a w końcu tulącą się pod skrzy-  
 dła matki, podobnie zakonnicy prze-  
 rażeni tym wrzaskiem, z początku za-  
 częli w różne strony uciekać, lecz

zwrócili się, stając około nowego opata, bardziej wiedzeni rozpaczą niżli odwagą. Opat zachowując postać pełną spokojnej godności, którą okazywał przez ciąg całego obrzędu, pozostał na najwyższym stopniu ołtarza, iak gdyby chciał się stawić na widoku i na siebie ściągnąć niebezpieczeństwo, zastaniając towarzyszków, gdyż nie mógł ich bronić inaczej.

Magdalena i Roland, którzy dotąd stali w ciemnym zakątku chóru, nie zwracając na siebie uwagi, postąpili ku ołtarzowi prawie mimowolnie, iak gdyby chcieli podzielać los zakonników. Oboje skłonili się z uszanowaniem opatowi, i gdy stara chciała do niego przemówić, młodzieniec rzucił oczyma na wielkie drzwi kościoła, do których dobiegano się z coraz większym hałasem, sięgnął ręką do sztyletu.

Opat skinął na nich aby się wstrzy-

mali. Spokojność, moja siostró, rzekł tonem poważnym, którego zagłuszyć nie mógł krzyk napastników, spokojność! zostaw nowemu opatowi Świętęj Maryi, aby odpowiedział na okrzyki lenników przychodzących zapewne obchodzić jego wybór; ty zaś mój synu nie uciekaj się do ziemskiego oręża. Jeżeli to jest wyrokiem naszey opiekunki, aby święty iéy kościół był zbezczeszczonym czynami gwałtu, zlanym krwią, niech ręka syna katolickiego kościoła nie splami się tą zbrodnią.

Co chwila hałas się powiększał, uderzenia we drzwi coraz stawały się gwałtowniejszemi, i usłyszano liczne głosy wołające: otwórzcie! otwórzcie! Wtenczas opat idąc ku przysionkowi, spokojnie, bez pośpiechu i drżenia, pośród zagrażającego mu niebezpieczeństwa, zapytał głosem poważnym, ktoby przerywał obrzód ich wiary, i

czegooby żądano od nich? Zamilkły głosy na chwilę; lecz po tém milczeniu głośny śmiech wybuchnął. W reście głos ieden odpowiedział:— „Chcemy weyść do kościoła. Otwórzcie nam drzwi, a wtenczas uyrzycie co za iedni iesteśmy.

— W czyiém imieniu domagacie się tego? rzekł opat.

— W imieniu naszego szanownego opata, odpowiedział głos za drzwiami: a po wybuchach śmiechu które nastąpiły po téy odpowiedzi, można było sądzić, iż te słowa miały znaczenie zupełnie różne od tego które na pozór wyrażały.

— Nie wiem i nie pragnę wiedzieć czego chcecie odpowiedział Opat, lecz oddalcie się w imie Boga, zostawiając w pokoju iego sługi. Mówię to, iako mający prawo rozkazywania w tém mięyscu.

— Otwórz drzwi bez próżnéy gada-

niny, rzekł inny głos tonem przykrym; obaczemy kto ma tu lepsze prawo mnichu; pokażemy wam władcę, któremu wszyscy winniście ulegać.

— Wyłamać drzwi jeżeli nie chcą otworzyć, zawołał trzeci, i wypędzić mnichów, którzy chcą spierać się z nami o przywileja nasze.

Krzyk ogólny powstał: Tak! tak! wyłamać drzwi i wypędzić mnichów gdy nam się ośmielają opierać. W ten czas zaczęto ogromnemi młotami uderzać we drzwi, i mimo ich mocy byłyby nie długo wytrzymały, lecz opat postrzegłszy że wszelki opór byłby bezskutecznym i nie chcąc rozdrażniać oblegających, prosił ich o chwilę milczenia i otrzymawszy ją nie bez trudności: — Moje dzieci, rzekł im, nie dozwolę wam popełnić grzechu. Otworzą drzwi. Furtyan poszedł po klucze; lecz błagam was namyślcie się dobrze czy wasz umysł dozwala wam wejść do świętego kościoła.



— Precz z papizmem! zawołano ze-  
wnątrz: nasz umysł iest podobny do  
umysłu mnichów gdy się weselą, czy-  
li mówiąc inaczej gdy mają na wiecze-  
rzę wyborny bifszyk zamiast kapusty  
gotowaney w wodzie. Lecz niech się  
wasz furtyan śpieszy i niech nam po-  
każe że nie ma pedogry, bo się obe-  
dziem bez niego. Czy nie prawda  
kamracie?— Zapewne, odpowiedziało  
sto głosów. I po cóż czekać na nie-  
go? I nie byliby czekali dłużej, gdyby  
szczęściem furtyan nie przybył z klu-  
czami w téj chwili. Wziął się ze drze-  
niem do swoihey powinności, i otworzy-  
wszy wielkie drzwi, cofnął się szybko,  
iako człowiek, który odchyliwszy stawi-  
dło, lęka się aby go potok nie uniósł,  
albo ten, który zapaliwszy minę, ucie-  
ka nim nastąpi wybuch. Opat stał  
o dziesięć stóp ode drzwi, nie okazy-  
wał żadnego oznaku pomieszania ani  
boiaźni, a wszyscy zakonnicy ośmiele-

ni jego stałością, oburzeni na myśl opuszczenia swego zwierzchnika, i przeięci uczuciem swoich powinności, stanęli za nim. Skoro drzwi otworzono, powstały wielkie krzyki zmieszane ze śmiechem; lecz tłum wściekły nie tłoczył się do kościoła, iak się tego było można spodziewać; przeciwnie powstał krzyk ogólny: Stóycie! stóycie! do porządku! przepuście opata, niechay dway błogostawieni oycowie zobaczą się z sobą i rozmówią.

Tłum zebrany przede-drzwiami przedstawiał naydziwaczniejszy widok, iak sobie tylko można wyobrazić. Składał się z mężczyzn, niewiast i dzieci, przebranych śmiesznie i dziko. Jeden z nich siedział na machinie oblepionéy malowanym papierem, wyobrażaiącáy z przodu głowę końską, maiącáy w tyle długi ogon z włosia, okrytáy długą sztuką materyi, iak gdyby dla zastonienia ciała zwierzęcia; galopował, wspinał się,

grał wybornie rolę drewnianego konia, którego widzieć ieszcze można na teatrze w bitwie kończącý tragedyą Bayesa. Za nim następował inny, pod strasznieyszą postacią smoka ze złotemi skrzydłami, z otwartą paszczą, z ięzykiem krwawym, gotów schwytać i poźrzć młodzieńca wyobrażaiącego piękną Sabę córkę króla Egiptu, uciekaiącą przed nim; a z drugiéy strony, Święty Jerzy ogromnéy postaci, maiący zamiast hełmu patelnię, a zamiast dzi-rytu rožen, chwilami bronił go i odpędział poczwarę. Niedźwiedz, wilk i para innych zwierząt dzikich, grała dosyć dobrze swoię rolę w téy śmie-sznéy scenie. Widać było nakoniec bandę rozbóyników, a na iéy czele Ro-bina Hood i małego-Jana iego namie-stnika. Ci dway ostatni aktorowie od-znaczali się naturalnością w swoiéy grze, co bynaymniéy nie zadziwiało, ponieważ większa część nadgranicznych

rabusiów była z rzemiosła tém co przedsięwzięła udawać.

Były także kobiety w ubiorze mężczyzn i mężczyźni w ubiorze kobiet; dzieci w postaci starców, opierające się na kulach, z ogromnemi czapkami na głowie, a przeciwnie starcy przybierali ton i ubiór dziecinny; inni mieli twarz pomazaną i koszule na wierzchu odzieży; niektórzy przystroili się w kawałki wstążek i ozdoby z papieru kolorowego; ci zaś, którzy nie mieli nie takiego, poczernili sobie twarze i na odwrotną stronę pokładli suknie; słowem, całe zgromadzenie zdawało się składać z waryatów i kuglarzy.

Gdy te maski wstrzymały się przeddrziami kościoła, oczekując iakiéys naysznakomitszý osoby, która miała im przewodniczyć do świątyni, opat i zakonnicy mogli się im przypatrzeć. Wkrótce odgadli przyczynę i cel tego zgromadzenia. Mało czytelników nie

wie, że był czas, kiedy kościół rzymski, w całej rozciągłości swéj władzy, cierpiał podobnego rodzaju saturnalia, których sobie pozwalali w téj chwili mieszkańcy z Kennaquhair i okolic. Przetwarzano w sposobie dziwacznym i śmiesznym obrzędy najswiętsze, a co jest naydziwnieysza, że czyniono to za pozwoleniem duchowieństwa. Gdy hierarchia rzymska była w stanie kwitnącym, duchowni nie lękali się złych skutków z tego, iż pozwolano ludowi nazbyt się spoufalać ze świętymi rzeczami i traktować je z tak małym uszanowaniem. Wyobrażali sobie, że laicy podobni są do gospodarskiego konia, który poddaie się bez trudności iarzmu i wędzidłom, chociaż pan pozwala mu niekiedy biegać wolno po pastwiskach, a nawet i wierzgać na niego. Lecz gdy się czasy zmieniły, gdy zaczęto wątpić o nauce katolickiego kościoła, gdy nienawiść prze-

ciw iego kapłanom objawiła się pomiędzy reformowanemi, duchowieństwo rzymskie poznało, lecz nazbyt późno, że niemałe wynikną nieprzyzwoitości z tych zabaw, w których wszystko co było najświętszém, obracano w śmie szność. Politycy mniéy nawet biegli od duchownych katolickiego kościoła, byliby wówczas odkryli bardzo łatwo, że też same czynności mogą sprawić wcale różny wypadek, gdy ie odprawiaią z umysłem wyszydzenia, pogardy i nienawiści, od tego gdy one są tylko rozrywką nieokrzesanéy wesołości. Zaczęto wówczas myśleć o zniesieniu tego nadużycia, i duchowieństwo reformowane naśladowało w tym względzie xięży katolickich, uderzone niemoralnością tych rozrywek. Lecz długi czas upłynął, nim zdołano odzwyczaić gmin od ulubionéy iego rozrywki; a w Szkocyi, równie iak w Anglii, mitra katolickiego

biskupa, suknia protestanckiego prałata i ubiór kalwińskiego predykanta, ustępować musiały na przemian miejsca tym wesołym osobom, papieżowi waryatów, dziecku przebranemu za biskupa i opatowi Głupstwa.

Ten to ostatni, w uroczystym stroiu zbliżał się wówczas do drzwi kościoła, przedstawiając karykaturę opata Świętęj Maryi, z którego przychodził się naśmiewać w obec iego duchowieństwa i w samymże kościele. Ten mniemany prałat, był silny śmieszek, miernego wzrostu, i winien był swoją grubość przyprawnemu brzuchowi. Miał na głowie mitrę ze skóry, podobną nieco do grenadyerskiéj czapki, niezgrabnie haftowaną, oblepioną ułomkami pobielanéj blachy, mającéj wyobrażać drogie kamienie. Twarz ukazująca się pod tą mitrą, odznaczała się nadewszystko ogromnym nosem, umazanym czerwono. Okryty był kapą malowaną,

z sową wyobrażoną na lewém ramieniu. Niósł w prawéy ręce pastorał, w lewéy zaś małe zwierciadełko; słowem podobny był do sławnego błazna, którego przygody świeżo wydane zyskały wielką wziętość pomiędzy ludem; za to dzieło bibliomanowie płacą dziś po gwinei za kartę.

Orszak tego prałata składał się z ośmiu czy też dziesięciu ludzi, ubranych w suknie przetwarzające szaty zakonników opactwa. Tłum, który uszykował się aby ich przepuścić, wpadł wówczas do kościoła krzyżując:—Mieysce! mieysce! mieysce szanownemu oycu Howleglas! przewielebnemu opatowi Głupstwa.

Naydziwaczniejsza harmonia rozpoczęła się wtedy, i słychać było tylko krzyk dzieci, pisk kobiet, śmiechy mężczyzn, ryki bydła, świstanie smoka, rżenie koni, wszyscy biegali po kościele iak szaleni, wydo-



bywali iskry z posdżki, uderzając ją trzewnikami podbitymi w ogromne gwoździe. Scena ta śmiesznego zamieszania, nużąca wzrok i uszy, odurzyłaby nawet obojętnego widza. Lecz zakonnicy nie mogli być obojętnymi świadkami tego zdarzenia; widzieli, że ten wybuch gminny wesołości miał na celu jedynie wyśmianie ich, obawiali się przecież o swoje bezpieczeństwo. Naymniejsza bowiem okoliczność, mogła skłonić do gwałtownych czynów tych ludzi, którzy, iak się zdawało szukali saméy tylko rozrywki, lecz w przebraaniu swoim nową śmiałość czerpali.

Pośród téy wrzawy, zwrócili oczy na Opata, iak podróżni, którzy gdy burza dochodzi do naywiększéy wściekłości, rzucają na sternika, weyrzenia, oznajmujące, że nie pozostaie żadnéy nadziei w ich własnych usiłowaniach, i że słabe mają zaufanie w biegiłości swego Palinura.

Sam oyciec Ambroży nie wiedział zrazu, coby mu wypało przedsięwziąć. Nie przystępnym był boiaźni, ale czuł, na iakie niebezpieczeństwo wystawi małą trzodę, któręy go obrano pasterzem, gdyby wybuchnął z całym zapałem, który mógł zaledwie powściągnąć. Skinął ręką, iak gdyby prosząc o milczenie, odpowiedziano mu ieszcze większym wrzaskiem. Lecz gdy Howleglas uczynił podobny znak, hałastra uciszyła się natychmiast, spodziewaiąc się, że rozmowa pomiędzy dwoma Opatami nastęczy im nowy przedmiot rozrywki, i zaufaną będąc w bezwstydnosci, i grubiańskim dowcipie swego wodza.

— Dobrze! krzyknęli niektórzy: daléy przewielebni oycowie, daléy więc! sprobuycie sił swoich, mnich przeciw mnichowi, Opat przeciw Opatowi, obie strony są równe.

— Milczcie, zawołał Howleglas, czyż dwaj uczeni mężowie kościoła nie mogą porozumieć się z sobą, bez waszych krzyków, któremi napętniacie powietrze, iak gdyby szło o podburzenie przeciw sobie psa rzeźniczego i byka? — Milczcie, mówię wam! pozwólcie temu godnemu oycu i mnie naradzić się nad tém, co się ściąga do naszych sądów i władzy.

— Moie dzieci, rzekł oyciec Ambroży....

— To są także moie dzieci, zawołał Opat Głupstwa i to są bardzo szczęśliwe dzieci.

— Jeżeli iest w tobie inne iakie uczucie prócz bezwstydu i dzikości, rzekł szanowny Opat, pozwól, niech przemówię słów kilka do tych obłąkanych ludzi.

— Jeżeli iest we mnie inne uczucie, mój godny braciszku, rzekł Howleglas, mam w sobie to wszystko, czego wymaga miejsce, które dzisiay zajmuję.

Postarałem się, przydał, uderzając w brzuch przyprawny, opatrzyć tego poranku moje wnętrze dobrym bewsztykiem, wyborném piwem i doskonałą wódką. Lecz zobaczemy mój bracie, zobaczemy, mów; potem przyydzie kolęy na mnie: postępujemy z sobą iak dobrzy kamraci. Podczas téy rozmowy, oburzenie Magdeleny doszło do naywyższego stopnia. Zbliżając się do Opat'a, stanęła przy nim i rzekła głosem cichym, lecz wyraźnym.

— Obudź się oycze Ambroży, obudź się! czyliż twoja ręka nie iest uzbroiona mieczem Świętego Piotra? Uderz i obciąż tych heretyków tańcuchem klątwy, którą nakłada kościół, a niebo uświęca.

— Bądź spokojną moja sestro odpowiedział Opat: umiarkowaniem tylko trzeba walczyć z szaleństwem. Dozwól mi wypełniać moje obowiązki; poraz to pierwszy iestem do nich wezwany, i zdaie się, że po raz ostatni.

— Godny mój kolego, rzekł Howleglas, słuchaj rady świętęj siostry. Nigdy klasztor nie zakwitnie bez rad kobiety.

— Milcz człowieku zuchwały, rzekł oyciec Ambroży; a wy moi bracia....

— Nie, nie, krzyknął Opat Głupstwa, nie wolno ci wznosić głosu do moich podwładnych wprzód, nim się naradzisz ze mną, ze swoim bratem. Przysięgam na dzwony i świece, że nikt z członków mego zgromadzenia nie będzie słuchał ani iednego słowa twoiego, przeto dobrze zrobisz, ieżeli ie-zwrócisz do mnie, kiedy cię słuchać raczę.

Chcąc uniknąć tak śmiesznych narad, Opat usiłował ieszcze ożywić nieco uszanowania, które mogło ostać się pomiędzy mieszkańcami, dla ich dawnego duchownego i świeckiego zwierzchnika, lecz Opat Głupstwa dał tylko znak kiiem, który mu służył za pasterał, a tańce, zgiełk i krzyki rozpoczęły się na nowo tak, że nie dostyszanoby nawet głosu Stentora.

— Teraz kamraci, rzekł Howleglas, zamknijcie usta i milczcie. Obaczmy, czy kogut Kennaqhairu zechce śpiewać, czy też ucieknie schyliwszy czuba. Milczenie nastąpiło natychmiast, i oyciec Ambroży korzystał z niego, przemawiając do swego przeciwnika.

— Nieszczęśliwy, rzekł, czyż nie możesz na co innego użyć twego światowego dowcipu, nie zaś na uwodzenie twych bliznych i prowadzenie ich na ścieżki błędu?

— Mówiąc sumiennie, mój bracie, odpowiedział Opat Głupstwa, między moim urzędem i twoim, małą tylko widzę różnicę; a ta jest, że ty występuiesz z kazaniem przeciw żartom, a ja z żartami przeciw kazaniu.

— Nieszczęśliwy! rzekł oyciec Ambroży czy nie masz innego rodzaju żartów prócz tego na który drzeć potrzeba? Nie możeszli brać za cel twego szyderstwa nic innego, prócz religi i którą szanować powinienes?

— Prawdę mówisz, mój przewie-  
lebny bracie, rzekł Howleglas; to co  
oświadczasz jest rzeczą bardzo spra-  
wiedliwą. Lecz śmiejąc się z mni-  
chów, nie szydę z religii. Jak to  
jest pięknie nosić habit, pasek i ka-  
ptur! stajemy się przeto filarami święte-  
go kościoła, a dzieciom nie wolno  
grać w piłkę przy murze, żeby okna  
nie wybiły.

— A wy moi przyjaciele, rzekł O-  
pat: rzucając oczyma w koło i mó-  
wiąc z mocą która ich do milczenia  
zmusiła na chwilę: ścierpicież aby  
bezbożny żartowniś znieważał sługi  
Boga w iego Kościele? Prawie wszysey  
żyliście pod świętymi poprzednikami  
moimi, którzy rozkazywali w tym Ko-  
ściele gdzie ia teraz do cierpienia po-  
wołany zostałem; im to winni ieste-  
ście dobra posiadane na tym świecie;  
a gdy nie pogardzaliście pomocą i  
pociechą duchowną tu mogliście ia  
znaleść. Któż z was odszedł bez

pomocy, gdy się do tego klasztoru uciekał? W ten czas gdy wy się oddaiecie rozrywkom, myśmy zanosili modły do Boga; czuwaliśmy gdy wy zasypiacie spokojnie.

— Toż samo powiadało nam kilka bab z Kennaquhairu, rzekł Opat Głupstwa. Lecz ten żart nie otrzymał takich oklasków, iak poprzednie, i oyciec Ambroży widząc że zwrócił uwagę zaślepionych, postanowił z tego iak nayspieszniey korzystać.

— Czyż mniemacie, mówił daléy, że wyplacacie hołd winnéy wdzięczności, przychodząc znieważać kilku starców, którzy równie iak ich poprzednicy nie wam złego, lecz przeciwnie wiele dobrego wyświadczyli; którzy pragną iedynie umrzeć spokojnie pośród szczątków tego co niegdyś było światłością kraiu, i codziennie wznoszą modły do nieba, aby ich zabrało z tego świata wprzód, nim na nim ostatnia iskra zagaśnie, wprzódy



nim te okolice pogrążą się w ciemnościach. Nie używaliśmy przeciwko wam ostrza duchownego miecza, dla zemszczenia się za prześladowania czasowe. Wydarto nam posiadłości nasze, prawie pozbawiono ostatniego kawałka chleba, a iednak nie uciekaliśmy się do strasznój broni klątew kościelnych. Żądamy tylko od was abyście nam pozwolili żyć i umrzeć spokojnie w tym kościele który do nas należy, abyście nie zabraniali nam błagać w nim Boga o przebaczenie za wasze i nasze grzechy i nie przychodzili zakłócać naszój spokojności nie obyczajnymi żartami, i świętokradzką igraszką.

Mowa ta, niespodziewana wcale, uczyniła wielkie wrażenie i powściągnęła szaleńców. Wiele instrumentów zamilkło, taniec ustał, koń już nie skakał i głębokie milczenie nastąpiło. Wiele dzikich zwierząt widocznie było wzruszonych; słyszano wzdychania nie-

dzwiedzia a wielki lis obcierał ogonem łzy płynące mu z oczu. Smok szczególniéy, niedawno tak srogi i zagrożający, rzekł głosem skruchy. — Nie mniemałem iżby co złego było w starożytnych zabawach naszych. Gdybym wiedział dobry oycze, iż weźmiesz tę rzecz tak do serca, wolałbym udawać diabła niż smoka.

Podczas téy chwili uciszenia, Opat pośród téy komicznój gromady, wydawał się iak święty Antoni tryumfujący nad kuszącymi go czartami, lecz Howleglas nie chciał mu placu ustąpić.

— No i cóż to wszystko znaczy, kochani kamraci? zawołał. Czyliżście mnie nie obrali Opatem Głupstwa? Czyż wolno jest komukolwiek z was słuchać dzisiay słów rozsądnych? Czyżście mnie nie obrali w uroczystej kapitule odprawionój w karczmie? Czyż mnie opuszczacie wyrzekając się waszój rozrywki? Graycie sztukę do końca. Jeżeli ktokolwiek ozwie się ze

zdrowém zdaniem lub rozumném, słowem przed zachodém słońca, jeżeli usłyszę że kto z was będzie namawiał do namysłu i zastanowienia się; na mocy wręconey mi władzy, musi dać nurka w stawie Kennaquhairu.

Tłum zmienny iak zazwyczaj, odpowiedział na tę mowę nowemi okrzykami; bębny i kobzy znów nayfałszywsze zaczęły wydawać tony, dzieci krzyczć, bydłęta ryczć, koń skakać, wąż nawet, mimo wymuszonęj skruchy przed chwilą, zabierał się do ścigania na nowo drżącey Saby. Przecież zdaie się, że Opat, który starał się po raz drugi przywrócić spokoyność, byłby zdołał uśmierzyć ten nowy szal, gdyby Magdalena Groemes nie wybuchła z oburzeniem, które wstrzymywała aż dotąd.

— Świętkradzcy! zawołała głosem odznaczaiącym się pośród wrzasków; synowie Béliala bluźniercy! heretycy!

— Milcz, błagam cię, rozkazuję, rzekł oyciec Ambroży: niech ia wypełniam powinność moję; nie przerywaj mi w moich obowiązkach.

Lecz nie nie mogło powściągnąć gorliwości Magdaleny i wciąż miała przekleństwa przeplatane groźbami, w imieniu papieżów, i wszystkich świętych, zaczawszy od Śgo Michała do Śgo Dunstana.

— Towarzysze, rzekł Howleglas, ta godna dama nie wyrzekła ani iednego słowa z sensem, przeto wolną iest od kary, naszymi regułami przepisany. Lecz choć prawiała same głupstwa, miała iednakże zamiar mówić rozumnie. Przeto iezeli nie wyzna że we wszystkiem, co mówiła, nie ma związku ani rozsądku, powinnaby za to odpowiadać. Milcz! więc święta kobieto, pielgrzymko, xieni, albo czémkolwiek iesteś, iezeli nie chcesz zapoznać się z naszym słowem: Nie przyymuiem żadnych uwag, ani duchownych

ani światowych, w naszey dyceczyi Głupstwa. Mówiąc to, wyciągnął rękę dla uchwycenia staréy kobiety, a iego towarzysze przystąpili mu na pomoc wykrzykując z radością: Do stawu! do stawu! Ale niespodziewany wypadek zmienił ten zamiar. Roland Groemes z oburzeniem patrzył na obelgi czynione swemu nauczycielowi duchownemu, lecz miał tyle władzy nad sobą iż poznał, że iego wdanie się mogłoby pogorszyć stan rzeczy. Lecz gdy uyrzał że chciano krzywdzić iego babkę, opuściła go cała przytomność i uległ gwałtowności wrodzonéy, rzucił się z sztyletem w rękę na opata Głupstwa, i iednym ciosem powalił go na posadzkę kościoła.

---

\*\*\*\*\*

## ROZDZIAŁ III.

„Si forte virum quem  
„Conspexere silent.”

*Virgilius.*

Przerażający krzyk zemsty wzniósł się ze wszech stron. Nikt już nie myślał o udawaniu poruczonéy sobie roli; lecz cały ten tłum był bezbronnym i przez chwilę zatrzymała go śmiałość Rolanda i sztylet, którym zagrażał każdemu ktoby się zbliżyć ośmielił. Opat przeięty okropnością, wzniósł ręce do Nieba, błagając o przebaczenie morderstwa spełnionego w przybytku pana. Magdalena tylko zdawała się tryumfować z odwagi swego wnuka, chociaż iéy postać wyrażała także obawę o skutki mogące ztąd wyniknąć. Niech gi-

nie bluźnierca! krzyknęła: niech umiera w tym przybytku który śmiał znieważać!

Lecz wściekłość tłumu, boleść opata i tryumf Magdaleny, okazały się płonnemi. Howleglas, o którym myślano że śmiertelną ranę odebrał, porwał się nagle, wołając: Cud! moi przyjaciele! cud tak wielki iakiego nie widziano nigdy w kościele Kennaquhairu! Ranni są uzdrowieni! zmarli powstają! Teraz, iako wasz prawy opat, zakazuję podnieść ręki na kogokolwiek bądź. Ty niedźwiedziu i wilku, weźcie pod straż tego młodego zapaleńca, lecz nie czyńcie mu nic złego. Ty, mój szanowny oycze, ustap ze swemi towarzyszami, ponieważ nasza dysputa skończyła się tak, iak się kończą wszystkie, to iest, że każdy został przy swoim zdaniu; a ieżeli będziemy się bić, ty, mnisi i twój kościół, nie wygracie na tém, przeto idźże sobie z Bogiem.

Wrzawa znowu powstała, a iednak oyciec Ambroży wahał się ieszcze nie wiedząc czy powinien śmiałe stawiać czoło grożący burzy, czyli też zachować się na szczęśliwsze czasy. Opat Głupstwa poznał co się działo w iego umyśle, i przybierając ton naturalny, rzekł mu głosem poważnym:—, Szanowny oycze, przyszlśmy tu raczćy dla zabawy, aniżeli na bitwę; bardzićy szczekamy aniżeli kåsamy, a nadewszystko nie chcemy wyrzãdzić tobie żadney osobistey krzywdy. Lecz radzę ci abyś ustąpił dopóki można; bo za późno gwizdać na sokoła gdy go iuż za łupem wypuszczã. Jeżeli moi towarzysze raz wezmã na kieł, sam Opat Głupstwa nie zdoła ich przywieśdź do porzãdku.

Zakonnicy cisnęli się w około opata zachęcając go aby ustąpił. Ta maskarada, mówili, iest dawnym zwyczaiem, i sam oyciec Mikołay grał rolę smoka za czasów opata Ingelrama.



—A my zbieramy dzisiaj owoce z nasion, które oni tak nierozsądnie rzucili, rzekł oyciec Ambroży. Nauczyli pospólstwo czynić sobie igraszkę z rzeczy najswiętszych; czyliż się więc dziwić trzeba, że teraz niemi pogardzają i bluźnią? Lecz zezwalam bracia moi, wróćmy się do naszych cel i módlmy się. A ty, rzekł do Magdaleny, 'przez władzę iaką mam nad tobą, przez wzgląd na życie młodzieńca, rozkazuję ci abyś udała się za nami bez wyrzeczenia ani słowa. Ale cóż chcesz zrobić z tem młodzieńcem, którego [trzymacie iako więźnia? zapytał Howleglasa głosem poważnym. Nie widzicież, że nosi na sobie ubiór domu Awenelów? Ci, którzy się nie lękają gniewu Niebios, bać się przynajmniéy powinni zemsty ludzi.

—Nie troszcz się o to, odpowiedział Howleglas: my wiemy czym on iest i kto iest.

— Zaklinam cię, rzekł opat tonem błagającym, abyś mu przebaczył gwałtowność, do której uniosła go nierozważna gorliwość.

— Mówię ci, mój oycze nie troszcz się, rzekł Hówleglas, lecz odeydz ze swoim orszakiem męzkim i żeńskim, bo nie zaręczam aby dla téy świętény nie zgotowano kąpieli w stawie. Co się tycze gniewu i zemsty, mimo moiéy grubości, rzekł uderzając się po brzuchu, nie ma tu mieysca dla niéy. Wypchany iest słomą i siercią, Bogu dzięki; i zastonił mnie od sztyletu tego zapaleńca tak dobrze iak zbroia medyolańska.

— Istotnie, sztylet Rolanda utkwiał tylko w przyprawnym brzuchu opata Głupstwa i sama gwałtowność ciosu powaliła go o ziemię.

Zaspokoiony słowami téy godnéy osoby, i widząc, że trzeba było ustąpić przemagającéy liczbie, opat wyszedł

z kościoła na czele swych mnichów w towarzystwie Magdaleny, zostawiając pole bitwy wesołéy gromadzie. Lecz mimo panującego nieładu, nie pożegnano ich tém szyderstwem, którém ich witano przy wniyściu; mowa opata wzbudziła w iednych wstręt, w innych wyrzuty sumienia, we wszystkich zaś pewien rodzaj chwilowego uszanowania. Zachowywali głębokie milczenie, dopóki ostatni zakonnik nie wyszedł bocznemi drzwiami, które łącząc się z salą kapituły, prowadziły do pomieszkania opata, i dopiero Howleglas ocucił ich wesołość.

— No, i cóż kamraci, rzekł do nich, cóż więc myślicie? Czemuż widzę w około siebie takie twarze zasmucone? Czyż to gadanina staréy baby odpędziła od was wesołość? bylibyście chyba głupszemi od niéy. Daléy! bębny i kotły, obudźcie tych uspiionych; niech mężczyźni tańczą, kobiety krzyczą, dzie-

ci piszcza, koń skacze, smok niech syczy, a wy niedźwiedziu i wilku dajcie baczną na waszego ienca! Tańczmy i bawmy się dzisia; smutki przyyda iutro. Chociażbyśmy nic nie robili zestarzeimy się przecie, a życie iest nazbyt krótkim, aby iedną iego chwilę w beczynności trawić.

Ta zachęta patetyczna sprawiła požądane wrażenie. Umysły zapaliły się bardziéj niż kiedy, i każdy chciał przesadzić innych w nieporządku i szaleństwie. Nalano brudné wody w kropielnice, napełniono kościół dymem z węłny i piór spalonych w kadzielnicy, odprawiono parodyę mszy świętę, śpiewając nayszkaradnieysze i bezbożne piosnki na nutę kościelną. Dokazawszy wszystkiego co tylko wyuzdana imaginacya mogła im poddadź, zniszczyli kilka szczątków rzeźby ocalonéj od poprzednich niszczycieli, potłukli malowane szyby kościoła, nie oszczę-

dzili nawet rzeźb, pozostałych na niektórych grobach. Zniszczywszy cząstkowo wszelkie ozdoby, któremi architektura przybrała ten kościół, kilku zaczęło myśleć o rzeczach większych, o zniszczeniu zupełném. Obalmy! krzyknęli, obalmy to stare gniazdo kruków!—Tak, tak, odpowiedzieli inni, już za długo służyłacy papieża w niém się gnieździli. W téj saméj chwili opat Głupstwa zanucił piosnkę wymierzoną przeciw sługom ołtarza; lecz gdy ją powtarzano głosem choralnym, orszak coraz bardziéj wpadał w szaleństwo, tak, że i sam opat Głupstwa nie mógł go przywrócić do porządku. W téj niebezpiecznéj chwili rycerz okryty zbroią, z trzema lub czterema ludźmi wszedł do kościoła, i rozkazał im głosem groźnym, uciszyć się i oddać natychmiast. Hełm miał odkryty, lecz gdyby nawet go spuścił ostokrzew powiewający na szyszaku, dałby poznać Glendinninga. Przeieźdźając

przez wioskę Kennaquhair, usłyszał w kościele krzyk nadzwyczajny, rolegaiący się na milę w około, i lekaiąc się o brata, udał się tam natychmiast.

—Cóż to się znaczy? rzekł surowym tonem; iesteście chrześcianami? iesteście wiernemi poddanemi króla? wy, co niszczyce kościół należący do niego?

Wszyscy zachowywali milczenie, chociaż wielu zdziwiło się, że gorliwy protestant czynił im wyrzuty za to, co podług ich wyobrażeń powinno było na pochwałę zasługiwać.

Nakoniec smok przyjął na siebie rolę mówcy zgromadzenia, i oświadczył, że chcieli tylko wyrzucić z kościoła ostatnie szczątki papizmu.

— Czyż mniemacie, rzekł sir Albert, że ta maskarada i te gwałty nie są równie godne kary iak sam papizm? czyż sądzicie, że ta wiara przylgnęła aż do ścian kamiennych? Staraycie

oczyścić z trądu serca wasze, porzucicie waszą wyuzdaną! bezwstydnosć, poskromcie dumę, unikajcie uniesień zbrodniczych, a to będzie większą zasługą, niż oczyszczanie murów zamieniając je w gruzy. Nie wiecież, że to co czynicie, jest ostatkiem zwyczajów rzymskiego kościoła?

— A to pięknie! zawołał smok, tonem odpowiednim roli swojej: czy po to przybyłeś tutaj abys nam czynił wyrzuty? lepiej więc było zostać przy wierze katolickiej, jeśli nie wolno bawić się.

— Do mnie tak odzywasz się? rzekł Glenidning. Jakąż zabawę znayduiesz w tém że się czołgasz po ziemi iak robak? Wyleż natychmiast z obwiatającego cię płótna, albo na słowo rycerskie, zgniotę cię iak gadzinę którą przedstawiasz.

— Gadzinę! powtórzył smok rozgniewany, iakimkolwiek iestes ryce-

rzem, sędzę przecieź że ród mój nie jest pośledniejszym od twego.

Sir Albert odpowiedział na to dwoma uderzeniami drzewca od kopii, tak silnemi, że gdyby obręcze tworzące boki smoka nie były mocne, aktor wystawiający jego rolę nie dorachował by się wszystkich żeber. Czempredzcy zrzucił swoje przebranie, z obawy aby rycerz znowu się nie wziął do kopii, a gdy ex-smok ukazał się Glendinningowi pod naturalną postacią, Sir Albert poznał Dana Howlethirsta iednego z dawnych towarzyszów swoich na dolinie Glendearg, wówczas, gdy ieszcze los nie wyniósł go nad stan własny i urodzenie.

Dan spoglądał na rycerza, marszcząc brwi i niby chcąc mu wyrzucić że tak źle obszedł się z dawnym przyiacielem; a Glendinning z natury dobry i ludzki, sam żałował swojej prędkości.



— Przepraszam cię, rzekł, lecz istotnie nie mogłem cię poznać. Z resztą tyś był zawsze pustakiem, lecz iedź ze mną do zamku Awenel, zobaczysz iak moje sokoły są wprawne do polowania.

— Czy są wprawne! zawołał opat Głupstwa, ieżeli nie zobaczy że lataią iak raca, niechay dostanę od waszég wysokoći kilka takich uderzeń, iakie mój kolega odebrał.

— Tyż to iesteś, łotrze? rzekł rycerz rozpoznaiąc głos, i iakimże trafem znayduię cię w tem miéyscu?

Mniemany opat odrzucając naprędecę nos i brzuch przyprawiony, ukazał się przed swoim panem w naturalnéj postaci: był to Adam Woodcock sokolnik z Avenelu.

— Powiedz mi, mówił daléy rycerz, iakim prawem ośmieliłeś się zakłócać dom, gdzie iak wiesz, mój brat mieszka?

— Błagam przebaczenia waszój wysokości, obpowiedział Woodcock, lecz właśnie z tego powodu przyszedłem. Wiedziałem dobrze że naradzano się w okolicy nad obraniem opata Głupstwa, a ponieważ umiem śpiewać, tańczyć i skakać, i pochlebiam sobie że nikt ze mną o palmę głupstwa walczyć nie może, pomyślałem więc że ieśliby mnie obrano, mógłbym się stać użytecznym bratu waszój wysokości, w razie gdyby się nie na żartach kończyć miało.

— Tyś iest przebiegłym łotrem, rzekł Sir Halbert, i wiem bardzo dobrze iż chętniej ubiegłbyś miłą dla kieliszka wódki i upodobania w podobnych szaleństwach, niż krok ieden dla sprawy moiego domu; ale idź precz. Zabierz swoich krzykaczów do karczmy, a ieżeli zechcą, oto iest kilka koron na trunk. Niech dzisiaysze szaleństwa skończą się bez większych nad-

użyć, a jutro bądźcie rozsądniéjszemi.

Posłuszny głosowi pana, sokolnik zebrał swoją gromadę zbitą z tropu, mówiąc z cicha. — Chodźmy, ustąpmy. *Tace*, iest łacińskie słowo, znaczy roztropność. Nie myśląc o purytanizmie dobrego rycerza, skończymy dzień ten wesoło u Łukasza Martin przy baryłce dobrego piwa. Daléy! naprzód kobzy i bębny! cichość dopóki nie wywdziem z cmentarza, potem można krzyczyć. Niedźwiedziu, wilku, lisie, idźcie na tylnych łapach dopóki będziemy w kościele, późniéy ukażecie się iak przystoi na dzikie zwierzęta. Nie wiem iaki zły duch go zesłał dla przerwania naszéy uciechy. Lecz cichość moi przyjaciele, nie przywódźcie go do gniewu, bo iego kopia cięższą iest niż piórko, o czem boki Dana mogą zaświadczyć.

— Na moję duszę, rzekł Dan, gdy-

by to był kto inny nie zaś dawny kamrat, pokazałbym że potrafię porządnie natrzec mu uszów.

— Day pokóy mój chłopcze, rzekł Adam, milcz; niechay nie usłyszysz tych słów, jeżeli kochasz twoie kości.

— Nie takie iest moje zdanie, rzekł Dan Howlethirst opierając się Wo-  
odcockowi, który go wyprowadzał z kościoła.

W téy chwili przenikliwe oko rycerza, dojrzało Rolanda, aż dotąd zostającego pod strażą. Co i ty także! zawołał; hey panie sokolniku czyliż śmiałeś przyprowadzić tu pania twoiéy pani, ażeby w moiéy liberyi paradował pośród niedźwiedzi i wilków? Jeżeli się dopuszczasz takich nadużyć mie mógłżeś go przebrać za małpę, dla ocalenia przynajmniéy honoru moiego domu! Przystap młody roztrzepańcze.

Adam Wrodeock był sprawiedliwym i szlachetnym, nie chciał więc wysta-

wiać niewinnego młodzieńca na gniew pana; przysięgam, rzekł, na Świętego Marcina z Bullions....

— Powiedz raczém, na twoje głupstwo, jeżeli chcesz abym ci zawierzył. —

— Jeżeli wasza wysokość nie chce abym mówił, wiem że jest moim obowiązkiem milczeć, lecz powinienem wyznać że to nie ja sprowadziłem tego młodzieńca, i że.....

— Że przyszedł tu z własnej woli, aby należeć do waszych szaleństw, wierzę temu. Zbliż się mały szpaczku i powiedz czy twoja pani pozwoliła ci opuszczać zamek, hańbić moję liberyą i wdawać się w takie głupstwa?

— Sir Albercie, odpowiedział Roland ze stałością, Lady Awenel pozwoliła mi albo raczém rozkazała mi rozrządzać moim czasem podług mego upodobania. Lecz mimo chęci stałem się świadkiem tego co się działo w tém

mieyscu; a dla tego dotąd noszę twoię liberyą, żen nie mógł ieszcze wystarać się o inne suknie, na którychby nie było żadnego śladu służby.

— Nie rozumiem ani słowa, rzekł Sir Halbert. Wytłumacz się iaśniéy młodzieńcze, nie chcę rozwiązywać zagadek. Lady Awenel wzięła cię pod swoię opiekę. Czyli cię iuż odprawiła? Za cóż ściagnęłaś na siebie iéy niełaske?

— Nic nie uczynił, odpowiedział Adam Woodcock, nie takiego o czemby warto gadać. Głupia sprzeczka ze mną, którą ieszcze nierozsądniéy doniesiono Milady, pozbawiła miéysca tego biedaka. Przyznaię, iam to zawinił, prócz w przyrządzaniu stawy sokółów, ponieważ pod tym względem nie ustapię nikonu.

Sir Halbert zadał nowe pytania, a sokolnik opowiedział co zrządziło oddalenie pazia, lecz w sposobie tak

korzystnym dla Rolanda, że rycerz poznał bezinteresowność Woodcocka.

— Widzę że masz dobre serce, Adamie, rzekł.

— Tak dobre iak każdy ktokolwiek trzymał sokoła na ręce; zaręczyć mogę toż samo za tego młodzieńca. Lecz ponieważ on ze swego miéysca iest pół-szlachcicem, przeto rzecz naturalna, że nie da sobie grać na nosie.

— Z tego wszystkiego co słyszę, rzekł rycerz, zdawało by się że Lady Awenel okazała się nieco surową, ponieważ nie było za co odprawiać młodzieńca, o którym od tylu lat miała staranie. Lecz nie wątpię że ten ptaszek pogorszył swoją sprawę sposobem iakim do niéy przemawiał. Cóżkolwiek bądź, ten wypadek posłużył mi w przedsięwziętym zamiarze. Odal się Woodcock, zabierz z sobą wszystkie twoje bydłéta; a ty Rolandzie idź za mną.

Roland wyszedł z nim bocznemi drzwiami *Wnie mówiąc i słowa.* Rycerz zatrzymał się w pierwszój sali którą zastał otwartą, rozkazał iednemu ze swoich ludzi aby oznaymił Edwardowi Glendining iego przybycie. Odesłał następnie cały orszak, który się chętnie połączył z sokolnikiem i iego wesolą gromadą u Łukasza Martin, a pozostawszy sam z paziem, po kilku chwilach milczenia, zaczął do niego mówić w te słowa.

— Musiałeś widzieć młodzieńcze, że mało na ciebie zwracałem uwagi w zamku Awenel. Widzę że ci rumieniec występuje na lica, lecz słuchaj mnie i nie przerywaj. Poznałem w tobie przymioty godne pochwały, lecz widziałem i błędy które pochwała moja mogłaby ieszcze powiększyć. Twoia Pani rozrządzaiąc podług woli domem swoim, do czego miała prawo, wzięła cię za faworyta, obchodząc się z tobą raczėj iak z krewnym niż iak ze



służącym, a jeżeli ta łaska wzbudziła w tobie nieiaką próżność i zarozumiałość, nie słuszną z drugiey strony byłoby rzeczą, zaprzeczać ci postępu we wszystkich twoich ćwiczeniach, i dowodów szlachetnego i odważnego umysłu w wielu wypadkach. Gdy wychowała cię w sposób, który zaszczyił w tobie zuchwałość i dumę, nie powinna była opuszczać cię, ponieważ nie mogłeś uchronić się błędów, na które cię twoje położenie narażało. Postanowiłem przeto zatrzymać cię w moim orszaku, dopóki nie będę mógł zaszczytnie rozporządzić tobą i otworzyć drogę do zaszczytnego w świecie zawodu.

Chociaż mowa sir Alberta Glendinning, pochlebiała miłości własney Rollanda, poznał przecieź, że to nie było złoto zupełnie czyste. Jednak sumienie ostrzegało go, iż powinien przyjąć z wdzięcznością ofiarę męża dobrej swojej opiekunki; a iego rozsądek iakkolwiek

mierny, dał mu do zrozumienia, że weydzie na świat pod lepszą wróżbą w orszaku sir Alberta Glendinning, rycerza znanego z mądrości i męstwa, i mającego wysokie znaczenie, aniżeli iako towarzysz wędrówki staréj kobiety, i wykonywacz dziwnych iéy zamiarów: tak bowiem ie uważał. Jednak silny wstręt od wrócenia do domu, z którego oddalono go z pogardą, sprawił, że przez kilka chwil nie mógł przemówić i słowa.

— Wahasz się młodzieńcze? mówił rycerz poglądając na niego z podziwieniem. Czyliż świat przedstawia ci tak łudzącą przyszłość, że się wahasz w przyięciu czynionéy ci ofiary? Mamże przypominać tobie, że chociaż obraziłaś twoię opiekunkę tak, że cię musiała odprawić, nie będzie mogła bez smutku i boleści pomyśleć o tém, że dziecko, którém się opiekowała tak długo, wchodzi na świat bez innego prze-

wodnika, prócz własnego niedoświadczenia, w tych czasach zaburzeń? Czyż nie powinienes przez wdzięczność oszczędzić iéy tego smutku i starać się pod moią opieką zawód rozpocząć. Roland odpowiedział mu, śmiałym, lecz pełnym uszanowania tonem: Jestem wdzięczny za łaski, które odbierałem tak długo w zamku rycerza z Awenel, i z radością dowiaduję się po raz pierwszy, że nie byłem tak nieszczęśliwym, iż wcale nie zwrócił na mnie swoiéy uwagi, iak mniemałem. Proszę więc tylko o wskazanie mi co powinienem czynić aby dowieśdź wdzięczności moiéy łaskawczyni, a uczynię to z narażeniem dni moich.

— To są tylko słowa, młodzieńcze; wielkie oświadczenia w zastępstwie prawdziwych usług. W czémże możesz służyć lady Awenel narażając dni twoie? Mówię ci tylko, iż się dowie z radością, że wchodzisz w zawód mo-

gący ci otworzyć zaszczytną drogę. Dla czegoż wahasz się w przyjęciu moich ofiar?

— Od czasu iak opuściłem zamek Awenel, napotkałem iedyną moię krewnę, przynajmniéy iedyną, którą znam. Muszę się iéy poradzić czy mi pozwoli przyjąć waszę propozycyą, czyliteż względ winny iéy władzy nademną, wiekowi i wzmagaiącym się słabościom, nie nakaże mi pozostać przy niéy.

— A gdzież iest ta krewna?

— W tym klasztorze.

— Idź więc do niéy; zapewne pozyskasz iéy pozwolenie. Byłaby nierozsądną odrzucając moje ofiary.

Roland wyszedł do Magdaleny, a w téy saméy chwili nowy opat wszedł do sali.

Dway bracia pozdrowili się, iak bracia kochaiący się czule i rzadko maiący sposobność widzenia się. Żywe i wzajemne przywiązanie łączyło ich,

lecz we wszystkim cokolwiek dotyczyło się polityki lub niezgód domowych, przyjaciel i doradca protestancki hrabiego Murray, w ręcz nie zgadzał się z kapłanem rzymsko-katolickiego kościoła. Ta różnica w zdaniu, była może przyczyną, że się widywali tak rzadko; lecz nie mogli czynić inaczej, bez ściągnięcia na siebie podeyrzeń swoich przyjaciół. Po uściskaniu się wzajemném, sir Albert Glendinning rzekł, iż cieszy się że przybył dość wczesnie i przeszkodził szaleńcom dokonać zamierzonego zniszczenia.

— A iednak, Edwardzie, przydał, gdy poglądam na twój ubiór, zdaie mi się, że ieszcze nie wyszedł z obrębu klasztoru opat Głupstwa.

— Dla czegoż wyśmiewasz moię suknię Albercie? rzekł opat: iest to zbroia duchowna mego stanu, i tak przystoi mnie, iak ten hełm i ten pancerz tobie.

— Bardzo dobrze, mój bracie, lecz zdaie mi się, że nierozsądkiem iest przywdziewać zbroię gdy kto iuż walczyć nie zdoła. Jest to niebezpieczna śmiałość, stawiać czoło nieprzyjacielowi, któremu oprzecz się trudno.

— Nie można o tém sądzić przed bitwą, Albercie. Lecz w każdym przypadku, zdaie mi się, że człowiek odważny, nawet rozpaczaiący o zwycięztwie, powinien raczély pragnąć zgonu z orężem w ręku, aniżeli poddadz się pod haniebnemi warunkami. Lecz daymy pokóy temu przedmiotowi, w którym nie możemy się zgodzić, i chodz raczély, chociaź protestant, zasiądz do uczty wyprawionéy z powodu mego wyboru. Nie lę kay się abys uniesiony gorliwością względem przywrócenia karności kościoła oburzył się na widok wykwintnie zastawionego stołu. Nie żyjemy za czasów dawnego przyziaciela naszego, opata Bo-

nifacego. Władzca opactwa Śtęy Maryi, nie ma już lasów napełnionych zwierzyną, pastwisk okrytych trzodami, pól obciążonych bogatym żniwem, iego piwnice nie mieszczą już obfitych zapasów oliwy, wina, wódki i innych napoiów; urząd piwnicznego, dzisiaj jest tylko tytułem bez obowiązków; uczta, którą ci ofiaruję, będzie podobna téy, iaką pustelnik w romansie zastawia rycerzowi błędnemu; lecz mimo prostoty swoiey, słodką nam będzie, iesli ją podzielisz z nami, i wszyscy bracia moi złożą ci dzięki za obronę przeciw burzycielom, którzy przyszli znieważać Boga w iego świątyni.

— Smutno mi bardzo mój kochany Edwardzie, że nie mogę pozostać z tobą; lecz nie przystoi ani mnie ani tobie, abym był przytomny uczcie danéy z powodu installacyi twoiey. Jeżeli cię mogę skutecznie bronić, to dla tego, iż strzegę się nadewszystko aby nie

padło na mnie podeyrzenie, że sprzyiam waszym obrzędom i wyznaniu. Potrzeba będzie całej powagi iaką mogę się poszczycić pomiędzy przyjaciołmi moiemi, dla zastonienia od niebezpieczeństwa, człowieka śmiałego, który niepomny na prawo ani uchwały parlamentu, odważył się przyiąć godność opata Świątęcy Maryi.

— Nie bierz na siebie tego obowiązku mój bracie: oddałbym ostatnią kroplę krwi moiéy za to, ażebyś bronił sprawy kościoła z przekonaniem o słuszności iego sprawy; lecz dopóki na nieszczęście pozostaniesz iego nieprzyjacielem, nie chcę abyś się dla mnie narażał na najmnieysze niebezpieczeństwo. Ale któż przychodzi przerywać krótką rozmowę dwóch braci, którzy tak rzadko mogą się widziéć?

Była to Magdalena Groemes; i wyszła do sali właśnie w téy chwili, gdy opat mówił te słowa:



— Co to jest za kobieta? czego chce od nas? zapytał sir Albert Glendinning brwi marszcząc.

— Bardzo mało troszczę się o to, rzekła stara, że mnie nie znasz. Przychodzę za twoim rozkazem oświadczyć, iż zezwalam aby Roland Groemes wszedł do służby twojej, po czém nie chcę nudzić cię dłużej moją przytomnością. Niech pokój będzie z tobą.

Po tych słowach oddała uniżony pokłon oycu Ambrożemu, nie zwracając uwagi na Alberta Glendinninga, i zwróciła się ku drzwiom.

— Co jesteś za za iedna? zawołał rycerz; czemuż nie czekasz aby odpowiedzieć na zapytanie moje?

— Byłam, gdym należała do świata, kobieta, której nazwisko tak było dobre jak i drugich. Teraz jestem Magdaleną, biedną pielgrzymką, dla miłości świętego kościoła.

— Ah! ah! katoliczka! zda mi się

że lady Awenel mówiła mi, iż Roland Groemes pochodzi z protestanckiej rodziny.

— Ojciec jego był heretykiem, albo mówiąc prawdę, nie był ani katolikiem, ani protestantem; nie chodził ani na kazanie, ani do spowiedzi. I ja także, ponieważ grzechy wieku rodzą grzeszników, i ja także udawałam niekiedy, iż wykonywam wasze bezbożne obrzędy, a moje usta wymawiały często słowa, którym zaprzeczało serce. Lecz miałam dyspensę do czynienia tego.

— Widzisz, rzekł sir Albert do brata ze złośliwym uśmiechem, że nie bez przyczyny was oskarżamy, iż dozwalacie uciekać się do myślnych zastrzeżeń.

— To jest niesprawiedliwość, mój bracie; kościół katolicki zaleca szczerłość i nie uwalnia nigdy od świadectwa za prawdę. Czyż nie postrze-

gasz, że ta kobieta nie jest zupełnie przy zdrowych zmysłach, dzięki waszym włóczącym się baronom i waszym kapłanom prześladowcom?

— Nie będę o to spierał się z tobą Edwardzie. Nieszczęścia wieku w którym żyjemy, są tak liczne, że oba kościoły mogą się nimi podzielić, i jeszcze zostanie reszta. Po tych słowach postąpił do okna, uderzył w małą trąbkę zawieszoną u pasa.

— Jako, mój bracie, rzekł opat, czy już myślisz odjeżdżać? zaledwie kilka chwil spędziliśmy razem.

— I podczas tych kilku chwil, rzekł sir Albert z uśmiechem, nie zawsze zgadzaliśmy się z sobą. Odjeżdżam mój bracie, bo muszę przedsięwziąć iak nayspieszniejsze środki dla oddalenia zgubnych skutków mogących wyniknąć z nierozsądnego i zuchwałego czynu, który dzisiay spełniłeś. Ty zaś Magdaleno, uwiadom twego młodego

krewniaka że wsiadamy na koń. Nie zaprowadzę go ze sobą do Awene'u; mogłyby wybuchnąć nowe załargi pomiędzy nim a memi ludźmi; byłby wystawionym na przekąsy; chcę go więc uwolnić od téy próby. Uda się natychmiast do Edymburga z jednym z moich ludzi, którego wysyłam dla zdania sprawy z tego co się stało tu dzisiay. Jak widzę, cieszy cię ta nowina? przydał, rzucając przenikliwe spojrzania na Magdalenę Groemes.

— Tak jest odpowiedziała, poglądając nań ze spokojną obojętnością, gdyż wolałabym widzieć Rolanda, sierotę bez przyjaciół i majątku, opuszczonego od całego świata, niż wystawionego na pogardę służalców zamku Awenel.

— Nie lękay się, nikt nie będzie nim pogardzał.

— Może to bydź, może to bydź istotnie; lecz w tém, więcéy rachuję naiego postępowanie niż na twoię opiekę.

Po tych słowach wyszła. Rycerz patrzył na nią przez chwilę, po czém zwracając się do brata, i życząc mu nayszczuléy wszelkiego szczęścia, prosił go aby mu pozwolił oddalić się. Ludzie moi, rzekł, siedząc w karczmie nie słyszają zapewne dźwięków méy trąbki, daremniebym dłużej na nich czekał.

Zabierał się do odejścia gdy opat zatrzymując go rzekł: — „Bracie proszę jeszcze o chwilę... przyniosą nam posiłek, nie opuszczay domu, który ia teraz powinienem nazywać moim, dopóki gwałt mi go nie wydrze, wprzódy, nim przynaymniéy nie rozłamiesz się ze mną kawałkiem chleba.

W téy chwili, stary zakonnik który wypełniał potrójny urząd furtyana, zakrystyana i piwnicznego, wszedł do sali przynosząc chleb, orzechy, i flaszę wina. Znalazł ją, iak mówił, szperając po wszystkich kątach piwni-

cy. Rycerz napełnił mały kielich srebrny, drobny szczyłek ocalony z rabunku sreber klasztornych, i wypróżniwszy go, zachęcał brata aby go także spełnił: przydając że to było bardzo stare i wyborne wino niemieckie.

— Nie mylicie się, rzekł oyciec piwniczny, gdyż ie znalazłem w kącie, który stary oyciec Mikołaj (niechaj z Bogiem spoczywa,) nazywał kątem opata Ingelrama. A opat Ingelram wychowany był u Benedyktynów w Wurtzburgu, krzew zaś wydający to wino rośnie w bliskości tego miasta.

— Jest wyborne, szanowny oycze, rzekł rycerz, i dla tego proszę cię wraz z moim bratem, abys wypił iego szklankę. Stary zakonnik rzucił boiażliwe weyrzenie na przełożonego.

— *Da veniam*, rzekł opat; a starzec biorąc drżącą ręką czarę napełnioną napoiem, od którego iuż był odwykł, wychylał ją powoli dla lepsze-

go smakowania, postawił na stole wstrząsając głową z melancholiczną miną, iakoby na zawsze żegnał się z przyjacielem. Dway bracia poglądali na siebie z uśmiechem; lecz sir Albert nakłaniał nowego opata do wypróżnienia kubka, oyciec Ambroży wstrząsnął głową mówiąc: — Nie w podobnym to dniu moy bracie, opat świętęy Maryi winien się oddawać zmysłowęy rokoszy, i napełniając wodą kielich przydał:—Wodą czerpaną ze studni opactwa Świętęy Maryi spełnię tve zdrowie, życząc ci wszelkiego szczęścia, a nadewszystko zrzeczenia się zgubnych błędów.

— A ia mój kochany Edwardzie, życzę ci abys mógł podjąć się obowiązków ważnięszych nad te, które ci nadaie próżny tytuł, tak nierozsądnie przyięty.

Dway bracia rozłączyli się nie bez smutku, a iednakże każdy z nich nie-

zachwianie przywiązany do swego zdania, uczuł, że mu nieobecność drugiego ulgę przyniosła, bo najszczerzej przywiązanie podsycać powinna zgodność uczuć.

Wkrótce usłyszano dźwięk trąb rycerza Awenel, a opat wstąpił na wierzchołek wieży z kąd można było widzieć rycerzy postępujących doliną na przeciw zwodzonego mostu opactwa. Gdy przyglądał się temu orszakowi, idącemu w porządku, stanęła przy nim Magdalena Groemes.

— Przychodzisz, rzekł, aby spojrzeć po raz ostatni na twego wnuka. Oto iedzie powierzony staraniom najlepszego w całej Szkocyi rycerza, posiadającego wszystkie przymioty, prócz prawej wiary.

— Biorę cię za świadka mój oycze, rzekła Magdalena, że ani Roland ani ja nie błagaliśmy rycerza z Awenel, iak go zowią, aby znówu przyjął sierotę w dom swój. Niebo, które ka-

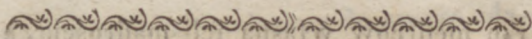


rzę mędrców własną ich mądrością, a złośliwych własnym ich zaślepieniem, postawiło go w tém położeniu, w którym dla dobra kościoła chciałam go widzieć.

— Nie rozumiem cię moja siostró.

— Czyż nigdy nie słyszałaś o tém mój oycze, że znajdą się umysły silne, zdolne roztrącić mury zamku gdy się raz w ich obręb dostaną, lecz które nie mogą wejść do nich, chyba że ich przywołają, że ich zagnają do wejścia? Tym sposobem Roland dwa razy wprowadzony został do domu Awenel, przez tych, którzy noszą to imię. Niech czeka ją końca.

To rzekłszy zeszła z wieży, a opat pomyślawszy przez chwilę nad temi słowami, i przypisującie pomieszeniu umysłu, udał się do klasztoru, dla obchodzenia swéj instalacyi nie przez okazaną ucztę ale postem i modlitwą.



## ROZDZIAŁ IV.

Przechodząc w starsze lata, od pory dziecięcej,  
 Trzeba ci więcéy starań, i powagi więcéy,  
 Trzeba rzucić igraszki, którym w ówéy chwili,  
 Różane dni młodości święciłeś najmiléy.

Niechay twóy ruch, weyrzenie, słowem cała postać  
 Okazuje, że możesz, już człowiekiem zostać.

Szaleństwo po szaleństwie niemniéy będziesz gonić,  
 Ale zdołasz ie barwą rozumu osłonić.

*Życie — poemat.*

Młody Roland Groemes postępował  
 wesoło w orszaku sir Alberta Glen-  
 dinning; wiadomość, że nie wróci na-  
 tychmiast do zamku Awenel, uwolniła  
 go od obawy żartów i pośmiewiska.  
 Wielkie zaydą zmiany gdy mnie w nim  
 uyrzą, mówił sam do siebie; nosić bę-  
 dę pancierz stalowy, zamiast bawolego

kaftana, a miedziany szyszak zamiast czapki i pióra. Nie ośmiela się szydzić z żołnierza za szaleństwa pazia; i pochlebiam sobie, że przed powrotem czemsiś ważniejszym się zatrudnię, niżeli szczwaniem ielenia lub wybieraniem młodych sokołów z gniazd na wyniosłej skale. Nie mógł się jednak wydziwić, myśląc z iaką łatwością jego babka mimo swoich religijnych mniemań, zezwoliła, aby wrócił w służbę domu Awenel, a jeszcze więcej zastanawiała go tajemna radość, którą okazywała żegnając się z nim w Opactwie.

— Niebo, mówiła ściskając oddalającego się, niebo przysposabia swoje zamiary dłonią naszych nieprzyjaciół, którzy mają się za mędrszych i silniejszych. Ty, mój synu, pamiętaj odpowiedzieć na wezwanie wiary twojej i kraiu; i nie zapominaj, że wszystkie węzły cielesnego przywiązania, przy

tych, które wiązać cię powinny do przedmiotów tak świętych, są iak słabe włókno konopi w porównaniu liny, którój żadna siła nie przerwie. Nie zapomniałeś postaci i rysów Katarzyny Sejton, mój synu?

Roland chciał odpowiedzieć; lecz wzruszenie obudzone tak nieprzewidzianém pytaniem, zatrzymało mu słowa na ustach, a Magdalena nie czekając jego odpowiedzi, mówiła daléy.

— Nie zapominay ich mój synu, powierzę ci rzecz, którą, spodziewam się, wkrótce będziesz mógł tajemnie oddać w iéy własne ręce.

W téyże chwili dała Rolandowi małą paczkę, nakazując strzedz iéy najpilniéy i nie pokazywać nikomu oprócz Katarzyny Seyton, która (przypomniała mu ieszcze choć tego nie było potrzeba) jest młodą dziewicą, którą widział w dniu poprzednim. Poczém dała mu uroczyste błogosławieństwo,

blągając Boga aby zawsze czuwał nad nim.

W iéy postaci i obeyściu było iakaś tajemnicza, lecz ani wiek ani charakter Rolanda, nie skłaniał go do iéy zgłębienia. Myślał tylko o przyiemnościach podróży, w którój wszystko będzie nowém dla niego. Zachwycony był tém, że iedzie do Edyburga, grać rolę człowieka a nie pazia; lecz najwyższą radość wzbudziła w nim ta myśl, że uyrzy Katarzynę Seyton, którój wdzięki i żywość, tak miłe na iego wyobraźni uczyniły wrażenie. Jako młodzian bez doświadczenia, lecz pełny zapału, gotów wystąpić na czynną scenę świata, czuł bicie serca na samą tę myśl, że uyrzy świetną okazałość rycerskiego dworu, o którym ludzie woieni z orszaku sir Alberta Gendinning, opowiadali tyle dziwów, ilekroć powrócili z panem do zamku Awenel; opowiadania te obu-

działy uwielbienie i zazdrość w tych wszystkich, którzy iak Roland znali tylko ze słuchu dwór i obozy, i oddawali się samotnym rozrywkom prawie zakonniczego życia, pośród zamku stojącego wśród jeziora, w okolicach dzikimi otoczonych górami.

— Będą mówić o mnie, myślał w duszy, jeżeli się kosztem krwi mojej odznacę, a Katarzyna Seyton zamiast śmiać się z niezręczności młodego pazia nieobeznanego ze światem, spoyrzy mile i z zadowoleniem na żołnierza, który rozstawił swe imię. Potrzeba mu było tylko podniety, aby zapalił się do najwyższego stopnia entuzjazmu, a znalazł ją siedząc znowu na żywym ognistym rumaku, i nie będąc przymuszonym iak w dniach poprzednich, podróżować piechotą.

Pobudzony wrodzoną żywością, Roland Groemes odzywał się często wesółym głosem śród tententu kopyt koń-

skich i gwaru iezdców, a rycerz słyszając to, cieszył się że młodzieniec odpowiada wesoło na przekąsy tych, którzy żartowali sobie, że wraca do zamku Awenel.

— Mości Rolandzie, rzekł do niego stary koniuszy sir Alberta Glendindinig, mniemałem, że gałązka ostokrzewu na twój czapce uwiędła.

— Okrył ją szron mały, rzekł Roland, ale widzisz, że zieleni się iak zawsze.

— Jest to roślina, która nie udaje się na gorącym gruncie panie Rolandzie.

— Jeżeli trudno iéy będzie rosnać, ocienię ją laurami i mirtem, wywiodeę ie wysoko dla wynagrodzenia opóźnionego wzrostu.

Mówiąc to, spiął rumaka ostrogą, zatrzymał go nagle i do wspinania się przymusił, okazując swoją zręczność. Sir Albert patrzył na niego z tą

melancholiczną rokoszą iakiéy zwykle doświadcza człowiek, który używszy wszystkich uciech życia, i przekonawszy się o ich próżności, pogląda na młodzieńca wstępującego na świat z duszą pełną zapału i nadziei, i uważającego tenże iako obfite źródło rokoszy i szczęścia.

Tymczasem Adam Woodcock sokolnik, zrzuciwszy ubiór Opata Głupstwa, w sukni swego urzędu, to iest w zielonym kaftanie, ze zwieszonym na iednéy stronie workiem, a na drugiéy kordelasem myśliwskim, z ogromną rękawicą na lewéy ręce, sięgającą aż do wpół ramienia, w czapce ozdobionéy piórem, złączył się z orszakiem i zaczął natychmiast rozmawiać z Rolandem.

— Tak więc, młody mój panie, jeszcze raz zaciągnąłeś się pod gałęź ostokrzewu.

— Tak mój dobry przyjacielu, i mo-



gę ci oddać dziesięć sztuk srebrnéy monety, które mi pożyczyłeś.

— A chciałeś mi ie zapłacić, nie ma może i godziny, dziesięcioma calami stali? Dalibóg pewny iestem, że napisano w księdze przeznaczenia, abym prędzém czy późniém zaznał się z twoim sztyletem.

— Nie mów tego mój kochany Adamie, wolałbym raczém przebić siebie samego. Jakże mógłem cię poznać pod tak dziwacznym ubiorem?

— Zapewne, zapewne, rzekł sokolnik, który iako poeta i aktor, nie był wolny od pewnéy dozy miłości własnéy, zdaie mi się, nie pochlebiając sobie, że nikt lepiém Opata Głupstwa nie udawał. Gdy nie chcę odstąpić przyłbicy, nawet sam diabeł nie odgadłby kto iestem. Lecz co za nieszczęście, że rycerz przybył przed ukończeniem rozrywki! byłbym wyśpiewał trzydzieści sześć strof moiém nowém ballady,

głosem, który byłoby słychać aż w Berwicku. Jednakże panie Roland nie szafuy tak hojnie sztyletem na przyszłość; bo gdybym nie miał dobrze obwarowanego brzucha, byłbym nie wyszedł z kościoła, chyba na cmentarz.

— Mnieysza o to, Adamie, rzekł Roland, mówmy o czém inném, to poprowadziłoby nas za daleko, a nie mogę dłużej nad kilka chwil z tobą pozostać. Nie wracam do Awenelu; rycerz wysyła mnie do Edymburga.

— A więc będzie czas do porachowania się z naszych długów, przez drogę. Rozumiałem że mi doniesiesz nowinę, lecz ja ci powiem lepszą. Rycerz rozkazał mi towarzyszyć ci do Edymburga.

— Tobie Adamie?

— Mnie samemu panie Rolandzie; mnie Adamowi Woodcock sokolnikowi z Awenelu. Niech tam płukają albo nie, mięso dla młodych sokołów, niech

tam iak chcą przyuczaiać ich do żerdzi i pięści, muszę z tobą iechać do Edymburga, i dostawię cię całego i zdrowego w ręce rejenta w Holyrood.

— Jaktó, rejenta! zawołał Roland zdziwiony.

— Tak, na mój honor rejenta, hrabiego Murray; i powiadam ci, że jeżeli nie weydziesz wprost do iego służby, przynajmniej zostawać przy nim będziesz iako ieden z dworzan rycerza z Awenel.

— I iakiémże prawem! zawołał Roland z gwałtownością, rycerz z Awenel chce mnie przeznaczyć do usług innego, iak gdybym był iego słuźalcem?

— Ciszéy, ciszéy, rzekł sokolnik; iest to pytanie, z którém nie radziłbym ci odzywać się przed nikiém, dopóki góra, iezioro, a co będzie ieszcze lepiéy, granice innego państwa nie odziera cię od twego feodalnego pana.

— Lecz ja nie jestem lennikiem Alberta Glendinning; zrodziłem się na gruncie spornym, a jego władza.....

— Ciszéy, mówię ci młodzieńcze: pomniy, że jeżeli popadniesz w nieła-skę rycerza, będzie to dla ciebie gor-szą rzeczą niżeli strata opieki milady. Dotykając cię małym palcem, może ci więcéy dokuczyć, niż ona najsilniejszym policzkiem. A na moje słowo, jest to człowiek ze stali, czysty i wierny, ale twardy i ostry. Czyż nie przypominasz sobie biednego Cocka de Capperlawe, którego kazał przed bramą zamku powie-sić, za fraszkę, za nędzną parę wołów, które biedak zabrał w Szkocyi mnie-maiąc że ie w Anglii zabiera. Byłem przyjacielem Cocka de Capperlawe; w całym Klanie Kerrsów nie było uczci-wszego człowieka, chociaż znajdowali się w nim ludzie, warci służyć za przy-kład na całej granicy; ludzie, którzy nie chcieliby zaiąć mniey nad dwadzie-

ścia krów za iednym trzaśnięciem bicza, i poczytaliby za hańbę chwytac iedno iagnię zbłąkane; którzy we wszystkich wycieczkach odnosili zysk i sławę. Lecz sza! iego wysokość zatrzymuie się, a my iuż przy moście; zbliżmy się dla odebrania ostatecznych iego rozkazów. Adam Woodcock nie mylił się. Sir Albert Glendinning kazał orszakowi zatrzymać się na wąziéy drodze wiódący do mostu, i skinął na Rolanda i Woodcocka aby się zbliżyli ku niemu.

—Woodcock, rzekł do niego, wiesz gdzie masz prowadzić tego młodzieńca. A ty Rolandzie, wykonyway z gorliwością wszystkie rozkazy, powściągay twóy gwałtowny i namiętny charakter, bądź sprawiedliwym, mężnym i wiernym, a masz wszystko czego ci trzeba do wzniesienia się nad twoie położenie dzisieysze. Dopóki postępować będziesz drogą rozsądku i honoru, możesz zawsze liczyć na opiekę rycerza z Awenelu.

Wtenczas zostawiając ich przed mostem, którego wieża zaczynała już rzucać na rzekę cień przedłużony, sir Albert Glendinning zwrócił się na lewo z orszakiem, zmierzając ku łańcuchowi gór, pośród których leżał zamek Awenel. Pozostał tylko sokolnik, Roland Groemes i służący, którego dodał im rycerz dla doglądania koni i posługi w drodze.

W tém też zbliżyli się do mostu, a Woodcock wołając głośno, rozkazał natychmiast otworzyć i domagał się przeyscia bez opłaty.

— Nie otworzę bez zapłaty, odpowiedział Piotr głosem drżącym od starości i gniewu: czy iścieście papistami, czy protestantami, mało mnie to obchodzi. Papista zagraża mi czyscem i ofiaruie rozgrzeszenie; protestant dobywa z pochew miecza i mówi o wolności i sumieniu; ale żaden mi nie rzekł: Piotrze, oto należna ci zapłata. Znużony

iuż iestem tém wszystkiém, i nie otworzę nikomu kto mi nie zapłaci gotówką. Wszystko mi równo, czy Rzym, czy Genewa; nie potrzebuję ani kazania, ani odpustów; gotówka, oto iedy ny paszport.

— Stary łotrze! krzyknął Woodcock, psie! rozbóyniku! czyż mniemasz żeśmy dla tego nie chcieli oddadź Święto-Pietrza Rzymowi, aby go zapłacić Piotrowi straźnikowi mostu w Kennaquhair? Otwórz natychmiast dla dworzana domu Awenel, albo, przysięgam ci na ramię moiego oyca, a był to silny chwyt hrabstwa Yorek, że mój pan rozkaże cię zrzucić z wieżą twoią w środek rzeki.

— Niechay diabeł porwie sokoły i sokoleta! mrucał Piotr; i armaty i strzelby, i wszystkie przeklęte narzędzia, które przewrotność ludzka wymyśliła na zniszczenie murów. Dobre to wówczas były czasy gdy się nie

lękano strzał, które tyle szkodzą silnym muróm co chmura gradowa; lecz dziś nie ochronią nas ani mury, ani zapory, i zawsze słabszy silniejszemu ustąpić musi.

Pocieszywszy się tém zdaniem, Piotr otworzył most i pozwolił im przejechać. Na widok tych ubielonych włosów, w części pokrywających rysy, które starość i zły humor nie uprzyemniały bynajmniey. Roland chciał mu dać iako iałmużnę to, o co się dopominał; lecz Adam Woodcock sprzeciwił się temu. Niechay odniesie karę za chciwość i skąpstwo, z których niegdyś był sławny, rzekł: gdy wilk utraci zęby, można się z nim obchodzić iak ze szpicem.

Zostawiwszy Piotra strażnika mostu, rozpaczającego nad zmianą czasów i nad tém, że po iego moście przejeżdżali tylko ludzie zbrojni i protestancy panowie, przemocą torujący sobie



drogę, zamiast spokojnych i uległych pielgrzymów, i że z dawnego ciemności, sam został uciemnionym, nasi podróżni zwrócili się na północ. Woodcock !znając dokładnie kraj, radził dla skrócenia drogi, pojechać małą doliną Glendearg, tak sławną przez wypadki w dawnych czasach na niéy zdarzone, opisane w pierwszém części manuskryptu Benedyktyna (1).

Można się domyśleć, że Roland znał ie wraz z komentarzami, dodatkami i upiększeniami: ponieważ w zamku Awenel iak we wszystkich wielkich domach, dworzanie najmilszą znajdowali rozrywkę w opowiadaniu przygód swego pana i pani. Gdy Roland z zajęciem przyglądał się mieyscom, na których iak mówiono, zaszły rzeczy sprzeczne z prawami przyrodzenia, Adam Woodcock myśląc tylko o zabawie przerwanéy w kościele Kenna-

---

(1) W romansie Klasztor.

quhair, pocieszał się, powtarzając sobie niektóre strofy swoiéy ballady.

— Na honor, mój przyjacielu, rzekł Roland, wiem że się nie lękasz ani świętych, ani szatanów, lecz będąc na twoim miejscu, nie chciałbym śpiewać piosnek bluźnierczych w téy dolinie Glendearg, na któręy zdarzały się wypadki tak dziwne.

— Nie gaday mi o twoich upiorach i widmach, odpowiedział Adam; tak się ich boję iak sokoł bażanta. Wszystkie te istoty wyniosły się, gdy nasi kapłani zaczęli opowiadać świętą naukę. Gniewam się że mi nie dozwolono skończyć moiéy ballady, byłbyś usłyszał iednę strofę, w któręy nie źle mnichom przyciąłem. Chciałbym aby rycerz z Awenel był dosłuchał aż do téy strofy. Byłby się uśmieł do rozpuku, co mu się rzadko zdarza.

— Jeżeli to wszystko co mówią o nim, iest prawdą, bardziéy niż ktokol-

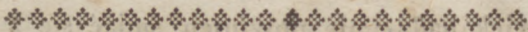
wiek bądź, nie powinien śmiać się z duchów.

— Tak, jeżeli to wszystko jest prawdą; lecz kto nas może o tém zapewnić? Te historye o nieboszczykach i zjawiskach, są samołówką dla naszéj łatwowierności.

Konieczność nauczyła Rolanda kryć się ze swoją religią i nie ogłaszać się iéy obrońcą gdy ją wyśmiewano w iego obecności, aby go nie posądzono o przyięcie iéy zasad.

Pozwolił więc Adamowi Woodcock cieszyć się swoim tryumfem; lecz chciałby był z serca, aby który z tych duchów, niegdyś tak czynnych, ukarał go za te bluźnierstwa i niedowiarstwo, wprzód nim opuszczą dolinę Glendearg. Jednak do tego nie przyszło. Przepędziwszy noc w chacie wieśniaka, nazajutrz z rana w dalszą ku Edybugowi puścili się podróż.

---



## ROZDZIAŁ V.

O! Edyburgu, Szkockich miast ozdob,  
 Chwała twoim murom, chwała!  
 Na twoim tronie wraz z króla osobą  
 Niegdyś Astrea siedziała.

*Burns.*

— Otóż i Edyburg! rzekł Roland wjeżdżając na wierzchołek wzgórza, z którego zdala widać było tę wielką stolicę; otóż miasto, o którym tyle słyszałem.

— Tak jest, odpowiedział sokolnik i na dwadzieścia mil w około dojrysz obłok dymu zawieszony nad jego murami, iak sokoła buiającego nad stadem dzikich kaczek. Oto jest serce Szkocyi, a każde jego uderzenie czuć się daie od brzegów Solwaiu aż do

głębi zatoki Dunkana. Patrz, tam na dole stary zamek, a daley na prawo na tém wzgórzu mury zamku Kraigmillar, w których spędziłem tyle chwil wesołych.

— Czyż to nie ten sam, gdzie mieszkała królowa?

— Tak, tak, ona była w ówczas królową; lecz dzisiay nie powinienes ją zwać tém imieniem. Lecz niechay co chcą mówią, przydał Adam cichym głosem, choćby nawet to wszystko było prawdą, ieszcze nie iedno serce ubolewałoby nad Maryą Sztuart; bo trzeba ci wiedzieć Panie Roland, była to naypiękniejsza kobieta iaką kiedykolwiek widziałem; i w całym kraju nie było damy, któraby z większą roskoszą poglądała na lot sokoła. Byłem w Roslin-moor przytomny zakładowi o lot sokołów, pomiędzy Bothwellem, a baronem Roslin, naywiększym z całej Szkocyi znawcą

w tym względzie. Chodziło o beczkę reńskiego wina i pierścień złoty. Nigdy ptaki nie wypełniały lepiéy swych obowiązków. Trzeba było ią widzieć w ówczas na białym rumaku, który biegł z taką lekkością, iakoby chciał tylko wierzchu kwiatów dotykać; słyszeć głos iéy tak słodki i harmoniyny iak śpiew drozda, mieszaiący się do naszych klaskań i świstów, zachęcający sokołów; widzieć cisnącą się w około niéy całą szlachtę, szczęśliwą z iéy iednego weyrzenia lub słowa; rycerzy biegiących w naywiększym pędzie po wężozach i górach dla okazania przed nią swoiéy zręczności... i błyszczące oczy piękney królowéy... Ach! w ukryciu, w którém iest teraz, iuż nie obaczy może polowania z sokołem! Tak, tak, okazałość i rokosz ueiekaiają tak szybko, iak lot tego ptaka.

— A gdzież teraz zamknięto biedną królowę? zapytał Roland zaięty losem kobiety, któręj wdzięki i pięknosc uczyniły tak żywe wrażenie, nawet na sercu dzikiego i nieokrzesanego Adama.

— Gdzie ją zamknięto? rzekł Adam: w jakimś zamku, daleko na północ leżącym, iak mówią. Co do mnie nie wiem nic o tém, a po cóż się troszczyć o to, czemu zaradzić nie można. Gdyby była umiała używać swęj władzy, nigdyby do tego nie przyszło. Mówią, że musi ustąpić korony temu xiążęcemu dziecku, gdyż nie myślą ięj powierzyć rządów po raz drugi. Pan nasz pracował nad tą sprawą równie iak iego sąsiedzi; a iężeliby królowęj powrócono kiedy ięj prawa, obaczylibyśmy dymiące się zwaliska w miejscu zamku Awenel; chyba Glendinning zapobiegłby temu zręcznemi układami.

— Królowa Marya uwięziona w zamku warownym, w północny stronie państw swoich! zawołał Roland.

— Tak iest, tak przynajmniej mówią, w zamku leżącym po za tą wielką rzeką, czyli mówiąc inaczej, która ma postać rzeki, lecz iest odnogą morską, gdyż woda w nię gorzka iak żółć.

— I pomiędzy wszystkimi ię poddanymi, nie masz i iednego człowieka! zawołał Roland z żywością, któryby ehciał się dla ię uwolnienia poświęcić?

— Jest to bardzo delikatne pytanie Panie Roland, odpowiedział sokolnik, i gdybyś ie często czynił, muszę cię ostrzedz, że zamkniętoby cię w którym z tych zamków, lub zatłumiono oddech, abyś go nie powtarzał. Narażać głowę, o mój Boże! pomyśl o tém, że Murray płynie z pomyślnym wiatrem, i wątpi, czy ktokolwiek zdoła go



dogonić. Nie, nie, musi ona pozostać tam gdzie jest teraz; dopóki nie uwolni iéy Niebo, lub też iéy syn nie zostanie: lecz Murray nie dozwoli iéy nigdy rozwinąć lotu; zna on ią aż nadto. I zważay dobrze; dążymy teraz do Holyrood, gdzie usłyszysz wiele wieści, i wielu dworzan rozpowiadających ię; lecz postuchay moiéy rady, i wzdychay z cicha, iak mówią Szkoci. Słuchay zdań każdego, a zachoway swoje dla siebie; ieżeli postyszysz co pomyslnego, nie skacz z radości, iak gdyby twóy sokoł piękną upolował sztukę. Nasz stary Wingate mówi, a zna on dobrze dworskich ludzi: — Jeżeli ci kto powie, że stary król Coul zmarłychwstał, przestań na zapytaniu. Czy do prawdy? nie wiedziałem o tém: lecz nie pokazuy większego wzruszenia, niż gdyby ci kto powiedział, że stary król Coul umarł i został po-

chowanym! Między więc baczność panie Roland, ponieważ żyjesz pośród ludzi tak prędkich do gniewu, iak zgłodniały sokoł. Nadewszystko nie bierz się do szabli za każdym przykrém słowem, bo napotkasz orężę równie ostre iak twój, które upuszczą ci krwi bez piawek i doktora.

— Obaczysz, że będę tak roztro-  
pnym, iak stałym, dobry mój przyia-  
cielu, rzekł Roland. Lecz na imie  
Matki Boskiéy! cóż to za kościół znisz-  
czony w bliskości miasta? czyli i tu  
iaki opat Głupstwa ogień podłożył?

— Otoż znowu zapalasz się, iak  
źle wyuczony sokoł, który nie słucha  
ani znaku, ani świśnięcia. Pytanie to  
powinieneś mi zadać po cichu, tak, iak  
ja na nie odpowiem.

— Widzę, że jeżeli pozostanę tu  
długo, stracę naturalny ton mego gło-  
su. Lecz wręście, cóż to są za gruzy?

— Gruzy kościoła Field, rzekł sokolnik zniżając głos i kładąc palec na ustach z tajemniczą miną; nie pytay o wiecący. Ktoś oszukiwał w grze, a ktoś drugi za złe to poczytał, a ta gra zaczęła się tam, gdzie może nie było trzeba zaczynać iéy za naszych czasów. Biedny Henryk Darnláy! Chociaż to był osioł, iednak miał skrzydła sokole, lecz puszczono go na los, i podczas nocy.

Wypadek ten był tak świeży, że Roland ze zgrozą odwrócił oczy od świątyni, w którój się zdarzył, a oskarżenia, które z tego powodu czyniono przeciw królowój, przedstawiły się iego umysłowi z taką mocą, iż przestał się litować nad iéy terażniejszym nieszczęściem. Z umysłem wzruszonym częścią zgrozą, częścią ciekawością, Roland przebywał scenę tych okropnych wypadków, których odgłos rozległ się aż w naydalsze ustronia Szko-

cyi, iak echo powtarzające pośród gór, huk gromu ryczącego z daleka.

— Teraz, pomyślał, teraz albo nigdy mam stać się człowiekiem, i grać rolę w tych wielkich wypadkach, o których prości mieszkańcy chat naszych mówią, iakoby o cudach przez wyższe istoty zdziałanych. Dowiem się, dla czego rycerz z Awenelu wzniosł głowę tak wysoko nad sąsiednich baronów, i iak mogą ludzie, siłą męztwa i roztropności, zmieniać ubiór płócienny na złote i purpurowe odzienie. Mówią, że nie odznaczam się roztropnością, dobrze więc, niech męztwo ią przeważy; chcę bydz człowiekiem pomiędzy ludźmi, albo trupem między zmarłemi.

Słodsze myśli przerwały mu te plany ambicyi, i zaczął zastanawiać się gdzie i kiedy uyrzy Katarzynę Seyton i iakim sposobem odnowi z nią znaiomość. Jeszcze był pogrążonym w tych

marzeniach, gdy uyrzał się już w Edymburgu, i wszystkie inne myśli ustąpiły uczuciu zadziwienia, którego doznaie mieszkaniec kraiu prawie pustego, gdy po raz pierwszy obaczy miasto obszerne i ludne.

Główna ulica Edymburga była w ówczas, iak jest ieszcze dotąd, iedną z największych ulic Europy. Niezmierna wysokość domów, ich architektura gotycka, rozmaitość balkonów i balustrad otaczających dachy, szerokość ulicy, mogłyby zadziwić oko wprawniejsze niż młodego Rolanda Groemes. Ludność miasta, pomnożona w ówczas tłumem lordów stronników króla, którzy przybiegli ze wszech stron ze swoiemi orszakami, gromadząc się w około reienta Murraya, czyniła ie podobném do ula, z którego wyroiły się pszczoły. Sklepy, zamiast wystawiania za oknami towarów, miały na ulicę wychodzące sto-

ły, na których iak na dzisiejszych jarmarkach rozkładano różne rzeczy na sprzedaż. Chociaż towary te nie były naybogatszymi, Rolandowi zdawało się, że poglądając na sztuki płócien z Flandryi, ogromne kobierce, naczynia do domowego użycia, a nadewszystko srebrne wazy i puhary, widzi bogactwa świata całego. Lecz naywiększą jego uwagę zwróciły sklepy z bronią, w których widział szable i sztylety wyrobione w Szkocyi, i obronne oręża z innych sprowadzone krajów. Za każdym krokiem znajdował tyle przedmiotów do oglądania i uwielbiania, że Adam Woodcock z trudnością oderwał go od tego czarodziejskiego widoku. Tłum ludzi zapełniający ulice, również go zadziwiał. Tu przechodziła wystrojona dama pokryta jedwabną zastoną, poprzedzona służącym torującym iéy drogę, paź niósł ogon iéy sukni, a służebna księgę,

co okazywało, że szli do kościoła. Tam znowu kilku obywateli postępowało tą samą drogą, w krótkich sukniach flamandzkich, w obszernych spodniach i kaftanach z wysokim kołnierzem: który to mody równie iak czapki z piórem długim trzymali się Szkoci. Nareszcie szedł sam kapłan protestancki, w sukni i pasie genewskim, słuchając z poważną i baczną twarzą kilku towarzyszących mu osób, którzy zapewne prowadzili z nim religijną rozmowę. Słowem, nie brakło na przechodniach rozmaitego stanu i wieku.

Co chwila postrzegął Roland, eleganta ubranego podług francuzkiéy najswieższéy mody, z długą szpadą przy iednym, a ze sztyletem przy drugim boku, otoczonego orszakiem słuźalców, stósownie do iego stanu i godności, idących z miną woyskową, uzbroionych szablą i małym okragłym puklerzem, podobnym do tych iakich używają górale Szkoccy.

Dwa takie orszaki, z których każdy miał na czele znakomitą osobę, spotkały się na środku ulicy czyli na pierwszém mieyscu, którego nie ustępuie się w Szkocyi bez pewnych przyczyn i względów, iak w Anglii strony od muru. Dway wodzowie, posiadaiący równe godności, a iak się zdawało pobudzeni iuż to różnością politycznych opinii, iuż to wspomnieniem iakiéy odwiecznéy kłótni, postąpili dumnie ieden na przeciw drugiemu, nie ustępując sobie ani na krok, ni na lewo ni na prawo, i zatrzymawszy się na chwilę, dobyli orężów. Słudzy naśladowali ich przykład; dwadzieścia szabel zabłyśło razem, i nie nie było słyhać prócz szczéku i krzyku walczących, iedni wołali: Leslie! Leslie! drudzy: Seyton! Seyton!

Jeżeli sokolnikowi trudno było wprzódy ciągnąć za sobą Rolanda, poznał



teraz, że to przedsięwzięcie przewyższa jego siły. Młodzieniec wstrzymując konia, ścigał oczyma wszystkie poruszenia walczących, i nie słuchając swego przewodnika, zdawał się poglądać na tę bitwę iak gdyby z nią łączył się jego osobisty interes.

Odgłos walki przyciągnął dwa czyli trzy podobne orszaki; kilku przechodzących złączyło się z iedną lub drugą stroną, stósownie do uczuć nienawiści lub przywiązania dla którego z wodzów.

Bitwa stawiała się coraz ważniejszą, a chociaż ludzie uzbroieni szablą i puklerzem, więcéy czynili hałasu niż złęgo, przecieź kilku z obu stron odebrało niebezpieczne rany. Dwóch ludzi iuż leżało na bruku, a strona Seytona, iako mniéy liczna od nieprzyjacielskiéy, którą pomnażali co chwila przechodnie, zaczęła słabiéy się bronić i ustępować: w tém Roland widząc, że wódz

Seytonów chociaż walczący z nieustraszoną odwagą, otoczonym był w okółto i bliskim już śmiertelnego ciosu, zawołał:

— Woodcock! jeżeli iesteś człowiekiem, weź szablę do ręki i lećmy na pomoc Seytonom.

Nie czekając odpowiedzi i nie słuchając prośb sokolnika, który go zaklinał aby się nie wdawał do sprawy obcój dla niego, zapalony młodzian skoczył z konia, dobył szabli i rzucając się pośród tłumu zaczął wołać iak inni: Seyton! Seyton! i powalił na ziemię iednego z nacierających na wódza téy strony; ten zaś nabierając odwagi na widok niespodzianéy pomocy, zaczął walczyć z nową wściekłością.

Lecz w teyże chwili, czterech urzędników miejskich, łatwych do poznania po atłasowym ubiorze i łańcuchach, przybyło na czele halabardników i obywateli w długie uzbroionych kiie, którój przyzwyczajeni do służby

podobnego rodzaju, śmiało uderzywszy na tłum walczących, rozpędzili go, przymuszając do rozpierzchnięcia się na różne strony i do zostawienia rannych na placu bitwy.

Sokolnik, który darł sobie włosy z rozpaczy, widząc zuchwałość swego towarzysza, postąpił wówczas ku niemu podając mu konia.

— Panie Roland, rzekł do niego, panie szaleńcze! czy raczysz wsiąść na konia i iechać dalej? Czyli też chcesz zostać tutaj, aby cię zaprowadzono do więzienia?

Roland, który zaczął już cofać się z Seytonami iako ich sprzymierzeniec, wrócił do niego i z zawstydzoném obliczem wsiadł na podanego konia; a widząc że oficer mieyski zbliża się ku niemu, ruszył galopem w towarzystwie Woodcocka, i wkrótce wolnym był od wszelkiéj pogoni, ieżeli tylko chciano ich ścigać; ponieważ podobne wal-

ki tak często zdarzały się w Edymburgu, iż uspokoiwszy kłótnię, nie myślano już o nich, chyba że iaka znakomita osoba przypłacała życiem, w którym to przypadku, było obowiązkiem krewnych i przyjaciół, pomścić śmierć ię przy pierwszém pomyslném zdarzeniu. Władza policyi była tak słabą, że częstokroć takie bitwy trwały po kilka godzin, gdy walczący zebraли się w wielkię liczbę i równę sile. Lecz od niejakiego czasu, reient, człowiek z charakterem stałym i przedsiębiorczym, czuiąc iak niebezpieczną mogło być rzeczą cierpieć te gwałty, rozkazał urzędowi mieć w gotowości straże dla zapobieżenia takim zamieszaniom, a przynajmnię dla ich przerwania, iak się to zdarzyło teraz.

Sokolnik i iego młody towarzysz, byli już w Kanongate, i widząc że nikt za nimi nie ścigał, wstrzymali konie aby nie zwracać na siebie uwagi. Ro-

land zwiesił głowę, czuiąc że nie rozsądnie postąpił.

— Czy raczysz mi jedną rzecz powiedzieć panie Rolandzie Groemes? zapytał sokolnik, chciałbym wiedzieć czy w tobie siedzi szatan, czy nie?

— Zdaie mi się panie Adamie Woodcock, że nie.

— Przeto radbym odgadnąć z iakiéj przyczyny lub namowy, tak lub owak, bierzesz się zawsze do oręża! Co za potrzeba mięszać się do utarczki tych Leslich i Seytonów, których nawet imion nigdy w życiu nie słyszałeś?

— Mylisz się mój dobry przyjacielu, mam powody ażeby obstawać za Seytonami.

— Muszą więc bydź niezmiernie tajne, gdyż byłbym się założył, że nawet nie znasz ich imienia, a jeszcze do-  
tąd mi się zdaie, że do narażania twéj  
głowy bez mózgu, w sprawie, która

w niczém nie dotyczyła się ciebie, skłoniła cię nie przychylności ku Seytonóm, lecz twoja namiętność do tego przekłętego szczęku oręża, który iak wiadać, ma dla ciebie taką ponętę, iak dźwięki miedzianego rądla dla zwabienia roju pszczoł. Lecz niech ci to będzie nauką i uważay dobrze, że jeżeli chcesz dobywać oręża za każdym razem, gdy w Edyburgu uyrzysz szablę w powietrzu, w krótcie nie będziesz mógł włożyć go na powrót do pochew, i że postępując tym sposobem, nie długo będziesz popasał. Zostawiam ci to do rozwagi.

— Prawdziwie Adamie, wdzięczny ci jestem za radę, i przyrzekam trzymać się iéy wiernie o ile wydołam, słowem czynić wszystko, aby każdy poznał we mnie twego ucznia w sztuce mądrości i tajemnicy, w nowym zawodzie moim.

— I dobrze zrobisz Panie Rolan-

dzie. Nie zarzucam ci tobie żeś zbyt porywczy: Wiem że można przyuczyć do pięści dzikiego sokoła, a nigdy nie można nie zrobić z kurą. Preto pomiędzy dwoma błędami wybrałeś mniejszy. Lecz spostrzegam, panie Rolandzie, że pomimo szczególniejszćy chętki do rąbania się, lubisz także zaglądać w oczy wszystkim przechodzącym kobietom iak gdybyś się spodziewał napotkać pomiędzy nimi iaką znaiomość: a przecie wiedząc iak mało dotąd znasz tych dzikich ptasząt, takbym się zdziwił gdybyś którą z twoich znaiomych zobaczył, iak przed chwilą dziwiłem się, żeś z takim zapętem uiał się za sprawą Seytonów.

— Szaleństwo, dzieciństwo, Adamie. Chcę tylko obaczyć iakie oczki kryją się pod kapturkami tych pięknych sokołów.

— Tak, lecz to jest ciekawość bardzo niebezpieczna panie Rolandzie. Nie-

można bez przygody polować na te piękne gąski dzikie. Maią one tyle wybiegów i podstępów, tak umięcą uwodzić fałszywym lotem, że nigdy sokół przebieglejszy nie ścigał zwierzyny. Lecz mnie coś nie słuchaśz panie Rolandzie; zaiąłeś się całkiem tą zgrabną panienką, która tak zwolna idzie przed nami. Na honor, że nie źle mogłaby figurować na balu w kontradansie, a para dzwoneczków maurytańskich takby dobrze do pięknych iéy nóżek przystała, iak do szponów nayokazalszego norwęskiego sokola.

— Jesteś dziwakiem Adamie: linie zajmuję mnie ani dziewczyna, ani iéy nogi, lecz do czarta, mając oczy, muszę przecie na coś patrzeć.

— To prawda, panie Roland, istotna prawda: lecz radzę ci patrzeć na coś innego. Zważay, nie ma na całej ulicy ani iednéy kobiety w iedwabnym woku, lub w kapeluszu zakrywającym



twarz całą, któryby nie towarzyszył oyciec, brat, krewny, mąż, albo co jeszcze gorzcy kochanek; za którąby nie szła para zuchów; uzbroiona w szablę i tarcze, i którąby..... ale mnie nie słuchasz panie Roland i tyle na mnie zważasz co iastrząb na motyla.

— Ręczę ci Adamie, że słucham każdego słowa twego; lecz potrzyмай mi konia na chwilę, wrócę tu w mgnieniu oka.

Po tych słowach, wprzód nim Adam skończył przerwaną mu perorę, Roland z wielkiem zadziwieniem sokolnika, zeskoczył z rumaka, śpiesząc za młodą dziewczyną, której zgrabne nóżki zwróciły uwagę jego towarzysza.

— Święta Maryo! Święta Magdaleno! Święty Benonie, Święty Barnabo! wołał biedny sokolnik, gdy młodzieniec, nad którym miał czuwać, biegł po szalonemu za dziewczyną, której nigdy nie widział, iak się

zdawało Woodcockowi. Szatanie! Belzebubie! wołał znouu. Jakiż go duch opętał, w nową mięsza się awanturę! Gdybym mógł znaleźć kogo coby pilnował naszych koni, poszedłbym... lecz tu równie jest niebezpieczno iak w naszym hrabstwie Yorku, i pożegnay się z uzdeczką i koniem, iak mówią u nas. Gdybym obaczył kogo z naszych, z gałęzią ostokrzewu na czapce, lub gdybym uyrzał którego z ludzi reienta, mógłbym mu zaufać. Lecz niepodobna zostawiać konie nieznałomemu; poiechać zaś nie wiedząc co się stanie z tym młodym szaleńcem, tego nie uczynię.

Musimy iednak opuścić zakłopotanego sokolnika, i pójść za młodzieńcem, który go w ten kłopot wprowadził.

Ostatnia część przestróg Adama Woodcock, chociaź przeznaczona na pożytek Rolanda, prawie całkiem była

straconą dla niego, ponieważ w młodej osobie przechodzącej ulicą, okrytą podług mody bruxelskiej, iedwabną zasłoną, upatrzył wiele podobieństwa do wysmukłej i wdzięcznej kibici Katarzyny Seyton; a gdy poważne rady sokolnika na próżno obiały się o iego ucho, oczy nie mogły się oderwać od tak zajmującego przedmiotu; nakoniec gdy piękność zwracając się w przeyscie prowadzące z Kanongate na ulicę pobliską, podniosła zasłonę, zapewne dla zobaczenia coby to był za ieden ów młodzieniec, który od kilku chwil nie spuszczał iey z oka, młody Roland poznał wielkie błękitne oczy Katarzyny figlarne i wesołe, które dość raz było widzieć, aby nigdy nie wyszły z pamięci; i to właśnie skłoniło niedoświadczonego młodzika, co nigdy nie spotykał oporu żądzom swoim ani przyzwyczajonym był do namysłu, iż opuścił swego

Mentora i udał się w pogoń za Katarzyną Seyton.

Żywość umysłu kobiet, poszła w przysłowie; lecz zdaie się że Katarzynie nie nastęczyła lepszego sposobu nad ten, aby korzystać z lekkości nóg dla uchronienia się od pogoni paza i ukrycia się wprzód, nim zdoła dostrzedz miejsca iéy schronienia. Lecz nie tak łatwo prześcignąć osiemnastoletniego młodzieńca, pędzącego za kochanką. Katarzyna Seyton weszła na obszerny brukowany podwórzec, ozdobiony wielkimi kamiennymi wazonami, w których z posępną okazałością rosnące cisy, cyprysy, i inne drzewa zielone, odpowiadały okazałości starożytnéy i wielkiéy budowy. Był to budynek czworościenny otoczony poczerńcionemi murami na pięć piąter wysokości, nad którego oknami widać było rzeźby wyobrażające rozmaite emblematy feodalne i religijne.

Katarzyna Seyton, zbierając iak najszybszniey te ładne nóżki, które ściągnęły uwagę roztropnego nawet Woodcocka, przebiegła ten podwórzec iak szybka łani od myśliwców pędzona, i dopadłszy wielkich drzwi w środku domu, zamkniętych tylko na klamkę, wkrótce wbiegła w głąb gmachu. Lecz ieśli ona uchodziła z szybkością łani, Roland ścigał ją z zapamiętaniem młodego charta, pierwszy raz wypuszczonego w pole za dupem. Mimo ię zabiegów nie stracił ię z oczu na chwilę, a widoczną iest rzeczą, że w takim biegu, młodzian pragnący dognać kochankę, ma zawsze wielką wyższość nad dziewczyną chcącą wymknąć się kochankowi. W iednym zakręcie przeyscia, widział powiewającą ię suknię, w innym ię zasłoneę; dalej postyszał odgłos ię kroków, iakkolwiek były lekkimi, a nakoniec uyrzał ją wchodzącą do domu.

Zapalony i bez namysłu, iak to mówiliśmy, znaiący świat tylko z romansów, które czytał, nie umieiający nigdy wstrzymać chwilowego pociagu, Roland równie odważny iak żywy, nie wahał się ani na chwilę postąpić ku domowi, w którym ukrył się cel iego poszukiwań. Ruszył klamką i otworzywszy drzwi, wbiegł z tą myślą, że się znajduie pod tymże dachem co i Katarzyna. Wszedł do wielkiéy sieni, albo przedpokoju, nieco posępnego, gdyż światło wchodziło tam przez szyby różnokolorowe; a mury olaczaiące budowę, nie przepuszczały do tych okien promieni słońca. Ściany pokryte były zardzewiałą starożytną bronią, wieńcami, trofeami i t. p., które ani na chwilę nie zwróciły uwagi Rolanda.

Jedynym przedmiotem, który rozpoznał, była Katarzyna Seyton; mniemaiąc ona, że iuż jest wolną od pogoni, usiadła na wielkiéy ławie dębo-

węy, w końcu sieni chcąc odetchnąć po długim biegu. Odgłos kroków wchodzącego Rolanda zmieszał ją nagle. Zadrżała wydając krzyk zadziwienia, uciekła drzwiami wychodzącymi z tego przedpokoju iako ze wspólnego wyjścia. Roland postąpił szybko ku drzwiom tym. Prowadziły one na wielką galeryą dobrze oświetloną, w końcu której usłyszał wiele głosów i odgłos kroków kilku osób zbliżających się szybko. Zebrał myśli na widok grożącego niebezpieczeństwa, wahał się czyli ma pozostać, czy uciekać, gdy Katarzyna wchodząc innemi drzwiami, przybiegła do niego z równą szybkością, z iaką uciekała przed chwilą.

— Jakiż zły duch przywiódł cię tutaj! zawołała: uciekaj albo zginiesz. Lecz nie, zostań: już nadchodzą; ucieczka już nie podobna. Powiedz, że chcesz się widzieć z Lordem Seyton.

— Nie czekając odpowiedzi wybiegła, a w téjże chwili drzwi wiodące do galeryi, otwarły się z łoskotem, i sześciu czy siedmiu młodzieńców bogato przybranych, wpadło do przedpokoju z szablami w ręku.

— Jakiż zuchwalec, rzekł ieden z nich, ośmielił się weyść do naszego domu?

— Rozsiekaymy go, rzekł drugi; niech odniesie karę za zniewagę, która odebraliśmy dzisiay. Pewno to iaki wystaniec od Rothów.

— Nie, na Świętą Maryą, rzekł trzeci, to ieszcze gorzéz: iest to dworzaniu tego uszlachconego chłopca, tego przeniwiercy Halberta Gleudinning, który przezwał się rycerzem z Awenel, niegdyś lennik kościoła, dzisiay łupiezca iego posiadłości.

— Istotnie, odpowiedział pierwszy, poznaię go po gałęzi ostokrzewu, która iest oznaką ieh domu. Niechay drzwi



zamkną, musi wytłumaczyć się, zdać sprawę z tej zuchwałości.

— Dwóch z pomiędzy nich pobiegło do drzwi wchodowych, i stanęło przy nich z szablą w ręku. Inni postąpili do Rolanda, który poznał, że opór byłby nie użytecznym i nierozsądnym. Rozmaite głosy pytały się razem, nie bardzo przyjemnym tonem, co jest za ieden, z kąd przychodzi, iak się nazywa, dla czego wszedł do tego domu, i kto go przysłał? Mnóstwo od razu zadawanych mu pytań, nastąpiło mu wymówkę, że nie mógł na nie odpowiedzieć natychmiast, i w tejże chwili nowa osoba weszła do przedpokoju, na której widok, wszyscy otaczający Rolanda z zagrażającą miną, cofnęli się z uszanowaniem. — Był to mąż wysokiéy postawy, którego krucze włosy zaczęła przypruszać siwizna, chociaż jego oczy okazywały jeszcze cały ogień młodości. Był ro-

zebrany, a jego koszula z holenderskiego płótna, cała była krwią zbroczona, lecz zarzucił na ramiona płaszcz purpurowy haftowany bogato, na głowie miał czapkę okręconą potrzykroć grubym złotym łańcuchem, podług mody panów Szkockich w téj epoce.

— Cóż znaczy to uniesienie, moje dzieci i przyjaciele? rzekł wchodząc: kogoż to otaczacie z tak zagrażającą postacią? Czyż nie wiecie, że dach ten powinien bydz opieką dla każdego szukającego pod nim schronienia, czy to przychodzi w zamiarze spokojnym, czy też wiedziony szczerą i otwartą nieprzyjaźnią?

— Milordzie! odpowiedział ieden z dworzan, iest to zdrayca, szpieg, który tu chciał się wemknąć.

— To oskarżenie iest fałszyem! zawołał Roland z odwagą, przyszedłem tu mówić z Lordem Seyton.

— Piękna wyrówka i bardzo podobna do prawdy! zawołało wiele głosów. Człowiek ze służby Glendinninga!

— Milczenie! krzyknął Lord Seyton: gdyż on to był; pozwólcie mi przyyrzeć się z bliska temu młodzieńcowi. Na Boga! to jest ten sam, który przed chwilą przybył na moją pomoc w ten czas, gdy wielu z was więcej myślało o swoim bezpieczeństwie, niż o moim. Zamiast tak surowego obchodzenia się z nim, ma on prawo do waszej wdzięczności i dzięków.

Wszyscy schowali orężę do pochew, a Lord Seyton biorąc Rolanda za rękę, podziękował mu za szlachetność, z jaką mu przybiegł na pomoc, dodając, że zapewne tém samym co przed chwilą uczuciem wiedziony, przybył dowiedzieć się o jego zdrowiu.

Roland nachylił głowę, na znak iż potwierdza mniemanie lorda Seyton.

— Albo może, mówił dalej lord, chcesz abym ci był w czém użytecznym? Jeżeli tak iest, mów, a nie opuszczę sposobności okazania ci moiéy łaski.

— Lecz Roland mniemał, że trzeba się trzymać wymówki, którą lord Seyton nastreczył, mu w samą porę, i rzekł że dostrzegłszy iż odebrał ranę, chciał się przekonać, czy nie była niebezpieczną, i ta iedynie przyczyna przywiodła go w te mieysca.

— Jest to tylko draśnięcie, rzekł lord Seyton, i właśnie zdeymowałem suknię aby mnie opatrzył mój chirurg, gdym usłyszał krzyki tych szaleńców.

— Roland Groemes, kłaniając mu się z uszanowaniem, chciał odejść, ponieważ oczyściwszy się już z podeyrzeń o szpiegostwo, zaczynał się lękać aby Adam Woodcock, którego opu-

ścił tak nagle, nie wprowadził go w większy kłopot, zanosząc do lorda prośby za nim, albo też nie wiedząc co się z nim stało nie ruszył daléy. Lecz lord Seyton nie dał mu wysunąć się tak łatwo. Chwila ieszcze, młodzieńcze, rzekł mu: powiedz iakie iest twoie imie i stan? Lord Seyton od nieiakiogo czasu przyzwyczał się bardziéy do zdrady swych przyiaciół niż do otrzymywania pomocy od ludzi obcych; ale czasy mogą się zmienić i kiedyś znajdzie sposobność zawdzięczenia przychylnym sobie.

Nazywam się Roland Groemes, milordzie; iestem w téy chwili paziem w służbie sir Alberta Glendinning.

— Więc dobrze mówiłem, zawołał ieden z obecnych, byłbym stawiał w zakład moje życie że to iest strzała wypuszczona z łuku niewiernego. Jest to zasadzka milordzie, podstęp uknowany na ciebie, abys szpiegowi zau-

fał. Nieprzyjaciele twoi umieją przyuczać do téj roli kobiety i dzieci.

— Jeżeli o mnie mówisz, zawołał Roland to jest fałszem. Nikt z całej Szkocyi nie byłby zdolnym nauczyć mnie roli zdraycy.

— Wierzę ci młodzieńcze, rzekł lord Seyton; w mężtwie okazaném w moiéj obronie, znać było, że nie należysz do strony mnie przeciwnéj. Jednak wierzay, że nigdy bym się nie spodziewał pomocy od kogokolwiek z domu twoiego pana, i chciałbym wiedzieć co skłoniło cię iż narażałeś własne życie dla obrony moiego?

— Mój pan byłby to samo uczynił milordzie, odpowiedział Roland: widząc człowieka honoru obarczonego liczbą nieprzyjaciół, nie przewiódłby na sobie aby mu nie dopomódz swém ramieniem. Taką przynajmniej naukę rycerstwa odbieramy w zamku Awenel.

— Dobrze ziarno, na dobry grunt upadło młodzieńcze, rzekł lord Seyton: lecz jeżeli często wykonywać będziesz te nauki, w tych czasach zaburzeń, gdzie siła zawsze nad prawem przemaga, lękam się abyś nie przepłacał życiem.

— Niechay przypłacę, rzekł Roland, bylebym ie skończył zaszczytnie. Lecz teraz milordzie, pozwól niechay cię pożegnam i oddalę się: ieden z moich towarzyszków czeka na mnie niecierpliwie.

— Przyymniy odemnie przynajmniéy te pamiątkę młodzieńcze, i noś ją z przywiązania do mnie. J w téyże chwili odjąwszy złoty łańcuch od czapki, podał go Rolandowi.

Młodzieniec z nieiaką dumą odebrał dar który uważał za nagrodę swoiéy odwagi. Obwiązał natychmiast łańcuch w około swéy czapki i podziękowawszy szlachetnemu baronowi, wy-

szedł z przedpokoju, przebiegł szybko podwórze i przechodnią uliczkę, i stanął na Kanongate w téj chwili właśnie, gdy Woodeock postanowił zostawić konie pod strażą kogokolwiek bądź z przechodzących i szukać swego młodego towarzysza.

— Jakieżś nowe szaleństwo popełnił? zawołał, ucieszony z jego przybycia, chociaż postrzegł na jego twarzy znaki wzruszenia.

— Nie zadawaj mi pytań, rzekł Roland skacząc lekko na konia, lecz patrz: przydał pokazując mu swoją nową ozdobę: iak mało trzeba czasu do zyskania pięknego łańcucha ze złota.

— Przez Świętego Huberta, zawołał sokolnik, niech Bóg zachowa, jeżeliś go nie ukradł albo nie zabrał gwałtem! bo nie mogę pojąć iakim innym sposobem mogłeś go zyskać. Bywałem tu często, siedziałem po całych miesiącach, a iednakże nikt mi nie dał łańcucha ani medalionu.



— Widzisz więc mój przyjacielu Adamie, że iabyłem szczęśliwszy w krótszym czasie. Lecz bądź spokojnym; nie ukradłem go ani gwałtem zabrałem, prawnie on jest nabyty i dany mi dobrowolnie.

— Dobrze więc panie Roland, jeżeli się będziesz chciał powiesić, użyj twego łańcucha złotego; bo iakés nie utonął w jeziorze, tak i wisić nie będziesz na konopnym sznurze. Za tożés porzucił miéysce i pazia u Milady, zostałeś giernkiem Rycerza; a teraz za pogoń za młodą panną, dano ci łańcuch, choćby może inny oberwał kiiem po plecach, albo i sztyletem w piersi. Lecz otóż iesteśmy wprost dawnego o-pactwa Holyrood; niech twoie szczęście towarzyszy ci w przechodzie przez ten dziedziniec, a na Matkę Boską, możesz nie lękać się całej Szkocyi.

Po tych słowach zatrzymali konie, stanąwszy przed starożytną bramą

wiodącą do opactwa albo do pałacu Holyrood, stojącego na rogu ulicy którą przebyli. Ciemne przeyscie sklepienie, wiodło na dziedziniec. Paź i sokolnik oddali konie służącemu, któremu Adam Woodcock rozkazał zaprowadzić ich do bistajni, dodając że jest z orszaku rycerza Awena.

— Trzeba tu pokazać się czém jesteśmy: rzekł do swego towarzysza po cichu: albowiem iak cię widzą tak cię piszą, mówi przysłowie. Przeto panie Rołand, nasuń czapkę i idźmy śmiało.

Po tych słowach, przybierając postawę znaczącą, zgodną (pódlug niego) ze stopniem i powagą swego pana, Adam Woodcock wprowadził Rołanda na wielki dziedziniec opactwa Holyrood.

\*\*\*\*\*

## ROZDZIAŁ VI.

Czy nie widzisz iak gromy w chmurach drzymią  
zdradnie,

Jak spokojny ocean karmi burzę na dnie?

Tak w kraiu wściekłość stronnictw powierzchownie  
głucha,

Skrycie układa plany i w miłczeniu słuca,

Aż dojrzawszy w potęgę, płomieniem wybucha.

*Albion— poema.*

— Pozwólże mi odetchnąć Adamie,  
rzekł młody paź do sokolnika, który  
szybkim krokiem na podwórzec wstę-  
pował. Nie uważasz na to że tu po  
raz pierwszy przychodzę, niechay przez  
chwilę obeyrzę się wokoło. Otóż więc  
iestem w Holyrood w tém siedlisku  
męztwa i wytworu, potęgi i piękności!

— Tak iest, tak, rzekł Woodcock,  
lecz chciałbym ci iak sokołowi, zakryć

głowę kapturem, bo twoie oczy znowu zdają się szukać nowéj kłótni albo drugiego łańcucha, a sam iesteś podobny do dzikiego sokoła; chciałbym cię posadzić całego i zdrowego na żerdzi. Przedsiónek pałacu był w rzeczy samej zupełnie nowym dla Rolanda widokiem: nieustannie miłali go ludzie, iedni okazujący wesołość, drudzy zamysłeni i zaięci iak się zdawało, interessami państwa lub osobistemi; tutaj urzędnik siwo-głowy z poważną postacią, w płaszczu i trzewikach obłożonych futrem; tu woyskowy pokryty skórę bawolą i stałą, z wielką szablą włokącą się po ziemi, z wąsem podniesionym w górę, z brwią przymarszczoną; nieco daléj widać było przechodzącego z pokorą sługę Bożego. Blisko niego uniżony suplikant z niespokojnym weyrzeniem, postępował nieśmiałym krokiem; oficer nadęty swą władzą krótko-trwałą, łokciami roz-

pierał sobie przejście pośród wyższych od siebie a może i swoich dobroczyńców; chytry xiądz starający się o dostatnie probostwo; dumny baron protestancki pragnący otrzymać jakąś część z dóbr kościelnych; potężny rozbojnik przybywający błagać o przebaczenia za rozboje, i złupiony przez niego *franklin* (1) szukający sprawiedliwości.

Widać było prócz tego tłumy straży i żołnierzy, przybywających i odchodzących postaćców: odzywały się zewnątrz rżenia koni i szczełk oręży; słowem była to świetna rozmaitość, w której oczy młodzieży widziały blask i okazałość, ale wzrok doświadczenia postrzegał tylko próżność i fałsz, zawodzące nadzieie, kłamliwe przyrzeczenia, dumę pod maską uniżenia, a zuchwałość pod postacią szczeréj szlachetności.

---

(1) Imię, nadawane niegdys w Anglii właścicielom nieszlacheie.

Adam Woodcock znudzony nareście, iż Roland bez końca wpatruie się w te nowe dla niego i zajmujące przedmioty, pociągnął go za sobą, lękając się aby niedoświadczenie i ciekawość nie narażyły go na pośmiewisko dworzan; lecz sam zaczepiony był przez człowieka w zielonéj czapce z piórem i w ubiorze podobnegoż koloru obwiedzionym sześcioma galonami srebrnemi, z fioletową wypustką. Woodcock poznał go natychmiast i obadwa zawołali razem:

— Co widzę, Adam Woodcock!

— Co widzę, Michał *Szybkoskrzydły*! I iakże się ma sławna sukazarna?

— Ho! ho! podobna ona do nas Adłamie, nie odmłodziła. Cztery nogi nie mogą psa wiecznie nosić. Skończyła lat osiem w iesieni, lecz ją chowamy dla rasy; to iéy dni przedłuża. Lecz cóż robisz tutaj? Milord chce cię widzieć; iuż po kilkakroć pytał się o ciebie.

— Lord Murray pytał się o mnie! zawołał Adam: reient państwa! Pragnę iak nayprędzcy złożyć moje uszanowanie temu dobremu panu. Zapewne przypomina sobie polowanie w Carnwartmoor, na którym mój sokoł drumelzyjski pokonał wszystkie sokoły z wyspy Manu, i od barona angielskiego Stanleia zjednał wygranę stu koron.

— Aby ci nie pochlebiać Adamie, powiem ci, że nie myśli ani o tobie, ani o twoim sokole. Sam on wzleciał wyżej, i lepszy łup wypatrzył. Lecz chodź ze mną, musimy odnowić naszą przyiaźń; a spodziewam się, że iestemy zawsze dobrimi kamratami.

— Jakte! chcesz abym z tobą gąsior wypróżnił? Lecz muszę wprzódzcy złożyć w bezpieczne miejsce tego młodego zapaleńca, gdzieby nie znalazł ani dziewczyny do umizgów, ani ochotnika do walki.

— Czy on to lubi?

— O! to cała jego uciecha.

— Dobrze więc, niech pójdzie z nami, gdyż w téj chwili brakuie nam do kompletu; trzeba tylko odwilżyć usta, a chętnie dowiem się co tam słychać w waszych stronach, wprzód nim się zobaczysz z Milordem i powiem ci z której strony wiatr wieie.

Mówiąc to, otworzył boczne drzwi sieni, i przeprowadziwszy ich przez wiele przeyśdź ciemnych, z miną poważną, iak człowiek znaiący wszystkie naytayneysze kryiówki pałacu, wprowadził go do małej izdebki. Postawił przed Sokolnikiem, chléb, ser i dzban musuiącego piwa, który Adam za iednym tykiem do połowy wypróżnił. Odetchnąwszy potém i obtarwszy pianę pozostałą na wąsach, rzekł, że kłopoty, w iakie go wplątał młody jego towarzysz osuszyły mu gardło.

— Dobrze, ugaś więc twoie pragnienie, rzekł Michał stawiając drugi dzban,



na stole i nie rób ceremonii, znam drogę do kuchni. Lecz teraz uważaj na to, co ci powiem. Dziś rano hrabia Morton przybył do Milorda, bardzo zagniewany.

— Więc są zawsze przyjaciółmi? rzekł Woodcock.

— Tak, tak, odpowiedział Michał, czemuż nie? ręka rękę umywa. Lecz iak ci mówiłem, hrabia Morton był bardzo zagniewany, chociaż mówiąc prawdę, nigdy go nie widziałem w dobrym humorze; i powiedział Milordowi: a ja w téj chwili byłem u niego po rozkazy względem sokołów z Dar-nowaz, które nie powstydzą się stanąć obok twoich długoskrzydłych Adamie.

— Uwierzę temu, gdy ich uyrzę w powietrzu, rzekł Woodcock odpowiadając na tę myśl nawiasową, wtrąconą z przywiązania do swego rzemiosła.

— Cóżkolwiek bądź, rzekł Michał wracając do swego opowiadania, hra-

bia Morton w wielkim gniewie zapytał Milorda reienta, czy się z nim obchodzi, iak się należało. Mój brat, rzekł mu, miał dostać iako lenną posiadłość Kennaquhair i wszystkie włości Świętęy Maryi, a te niegodziwe mnichy śmiały mianować nowego opata, który będzie rościł pretensye przeciw iego prawom, a co gorsza, okoliczni lennicy, te psy szalone, spaliły i złupiły reszty opactwa, tak dalece, że gdy brat mój wypędzi tych mnichów, nie będzie mógł głowy swoięy złożyć pod dachem. Milord widząc go w takim humorze, odpowiedział mu spokojnie. „Są to fałszywe wieści, Douglasie, i spodziewam się, że cię źle uwiadomiono. Albert Glendinning udał się wczoray na południe z orszakim kopiyników, i iest rzeczą nie zawodną, że gdyby mnisi Świętęy Maryi ośmielili się obrać opata, lub ieźliby zburzono i zniszczono opactwo, byłby natych-

miast ukarał tę zuchwałość, albo przysłał do mnie posłańca. A hrabia Morton odpowiedział mu: — Lecz proszę cię Adamie, abys dobrze zważał na to, co ci mówię, równie przez przyjaźń dla ciebie i twego pana, ponieważ ty iesteś moim dawnym towarzyszem, a Sir Albert uczynił mi przysługi, i może ieszeze uczynić: iak i dla tego, że nie lubię hrabiego Morton, bo w ogólności więcéy go się boją, niż kochają: przeto źle byś zrobił, gdybyś mnie zdradził.— Lecz, rzekł hrabia do reienta, strzeż się Milordzie ufać bardzo Glendingowi; pochodzi on z niskiego rodu: taka krew nie może być wierną szlachcie! Na Świętego Andrzeia, to są własne iego słowa, prócz tego mówił daléy, brat iego iest mnichem w opactwie u Świętény Maryi, a bez iego porady, Albert nic nie przedsięwiera. Zjednał sobie przyaciół nad granicą, a między innemi Buccleuchai Fernia-

chersta i połączy się z niemi za pierwszą zmianą w sprawach kraiu. A reient mu odpowiedział, iako dobrze myślący Lord: „Wstydz się hrabio, wstydz się, ia ręczę za wierność Glendinninga, a co do iego brata, iest to człowiek, który tylko o swoim szkaplerzu i rozańcu myśli. Jeżeli nowiny których mi udzielasz, są prawdziwe, zaręczam, że Glendinning przyśle mi ze związanemi rękoma i nogami iednego z tych buntowników mnichów, i przywódcę tych zuchwałych lenników, abym ich skazał na szubienicę, ieżeli sam wprzódy nie domyśli się tego. Hrabia Morton oddalił się nie kontent, iak się zdawało. Lecz od tego czasu Milord po kilkakroć się pytał, czy nie przybył posłaniec od rycerza z Awenel. Mówię ci o tém wszystkim Adamie, abyś wiedział w iakim sposobie masz do Regenta przemawiać, gdyż mi się zdaie, że

się będzie gniewał, jeżeli to co mu Hrabia Morton doniósł jest prawdą, i jeżeli sir Albert nie przedsięwziął środków surowych.

W opowiadaniu tém było kilka szczegółów, na które zbladł Adam Woodcock mimo pomocy czerpanéy ze dzbana.

— O jakimże to przywódcy pospólstwa mówił ponury hrabia Morton? zapytał nieukontentowany sokolnik swego przyjaciela.

— Nie! Adamie, nie! to nie hrabia Morton, lecz Reient mówił, że jeżeli opactwo zostało spalone i zburzone, twój pan przyśle mu wodza burzycieli, aby go powiesić na szubienicy.

— I toż to jest czyn dobrego protestanta? krzyknął Woodcock: prawego lorda kongregacyi? Przecież chwalono nas za zburzenie klasztorów w hrabstwach Fife, i Perthu?

— Bez wątpienia, odpowiedział Michał: lecz wówczas Rzym był jeszcze

panem, a nasi lordowie uradzili, aby nie pozostawić mu w całéy Szkocyi iednego zakątka w którym mógłby złożyć swoię głowę. Lecz teraz gdy papiści są pogromieni, a opactwa, probostwa, ich domy i grunta, są w ręku naszych panów, nikt nie chce iuż abyśmy posuwali tak daleko gorliwość naszą.

— Lecz powiadam ci, że opactwo Świętény Maryi nie iest zniszczoném, zawołał Adam z pomieszaniam co raz większém. — Prawda, że wybito kilka malowanych szyb, ale czyż który protestant ścierpi takie rzeczy w swym domu? ale co do spalenia, iest to potwarz. Nie mieliśmy ani iednéy zapalki, prócz lontu co go Smok miał w kieszeni, chcąc go w potrzebie użyć do zapalenia racy, którą miał miotać ogień na Świętego Jerzego. O! ia się starałem aby wszystko było w porządku.

— Jak to, Adamie, tyżbyś miał się

przyłożyć do téj pięknéy sprawki? nie chciałbym cię przestraszać, widzisz, nadewszystko w chwili twego przybycia; lecz cię ostrzegam, że hrabia Morton sprowadził nam z Halifaxu panienkę iakiéy ieszcze nie widziałés, która ieżeli cię raz uchwyci za szyję, iuż nie wydobędziesz głowy z iéy rączki.

— Ho! ho! ho! iestem zbyt stary a by mi panna miała głowę zawracać. Wiem dobrze, że hrabia Mor<sup>t</sup>on pobiegł by, iak każdy inny, za piękną dziewczyną, lecz iakąż miał potrzebę szukać iéy aż w Halifax? A z resztą cóż ona ma wspólnego z moią głową?

— Wiécéy niżeli myślisz, Adamie. Córka Heroda nigdy nie strącała tak łatwo głowy ludzkiéy iak ta panienska, o którę ci mówię. Jest to, mój stary kamracie, topór, który sam spada iak okno, i nie potrzebuie ręki ludzkiéy do pomocy.

— Na poczciwość, szacowny to  
*Tom II.*

wynalazek, lecz niechay Bóg uchroni nas od niego.

Roland widząc że rozmowa dwóch przyjaciół nie skończy się tak prędko, a tém co usłyszał zatrwożony o bezpieczeństwo nowego opata Świętęy Maryi, przerwał im.

— Zdaie mi się Woodcocku, że trzeba pomyśleć o oddaniu reientowi listu twoiego pana. Nie wątpię, że o tém co się działo w Kennaquhair, doniósł w sposobie o ile można korzystnym dla tych, którzy się do tego mieszczeni.

— Młodzieniec prawdę mówi, rzekł Michał, milord z niecierpliwością oczekuje nowin.

— Kurczę chce uczyć rozumu kurę, rzekł sokolnik wyjmując z worka znamie swoich poleceń, list sir Alberta do hrabiego Murray, przeto panie Roland zachcesz sam oddać reientowi list mego pana. Młody paź odda go



z większą zręcznością niż stary sokolnik:

—Dobrze mówisz stary wywiaczu! odpowiedział mu przyjaciel. Przecież niedawno tak ci śpieszno było samemu widzieć się z milordem? chceszże stawiać nad przepaścią młodzieńca, lekając się abys sam w nią nie wleciał? Czyż mniemasz, że panienka, o której mówiłem, chętniey uściśnie iego białą i delikatną szyję, niż twój kark pomarszczony i twardy?

—Ho! ho! ho! rzekł sokolnik, niewczesne żarty. Mówię ci, że młodzikowi nic nie grozi, nie chodził on na czterech nogach. Była to naywyborniejsza farsa iaką kiedykolwiek udawano, a ja ułożyłem naypiękniejszą balladę..... Na nieszczęście nie miałem czasu wyśpiewać ją całkowicie. Lecz cicho! *Tace*, iak nieraz mówiłem, iest słowo łacińskie, znaczące rozstropność.

—Zaprowadź młodzieńca do rejenta, a ja pójdę obezrzec moiego konia, aby się mieć na pogotowiu, jeżeli na mnie wypuszczą iakiego sokoła. Zostawiłbym wkrótce Soltraedge między rejentem i mną, jeżeli mi zechce figla wypłatać.

—Chodźmy więc młodzieńcze, rzekł Michał, kiedy stary lis chce cię wyprawić na zgnębę.

Po tych słowach, przeprowadził go przez wiele korytarzy aż do ogromnych schodów kamiennych, które były tak szerokie i łatwe, że można było iść po nich bez utrudzenia.

Gdy weszli na pierwsze piętro, Michał otworzył drzwi przedpokoju tak ciemnego, że Roland nie mogąc doyrzec małego schodu niezgrabnie umieszczonego pod samym progiem tych drzwi, ledwie nie upadł.

—Ostróżnie, rzekł Michał spuszczaiąc głos i poglądając w około czy by-

li sami; ostóźnie młodzieńcze, ci, którzy upadają w tym zakątku, nie zawsze się podnoszą. Widzisz to? przydał głosem jeszcze cichszym, pokazując mu na podłodze plamy brunatno-czerwone, na które padał promień światła, widzisz to młodzieńcze? postępuy ostroźnie; już wielu tu przed tobą upadło.

— Cóż to znaczy? zapytał go paź drżąc mimowolnie. Czyż to są ślady krwi?

— Tak, tak, odpowiedział Michał, iak nayszycy biorąc go za rękę, jest to krew, krew wylana przez zdradę i zdradą pomszczona. Jest to krew Signora Dawida, przydał, jeszcze raz spojrzawszy w około siebie.

Serce Rolanda przeięta zgroza gdy się dowiedział tak nagle, że się znajdował na miejscu gdzie Rizzio był zamordowanym; wypadek ten wzbudził powszechnie oburzenie, nawet w tym

nieoświeconym wieku; a wieść o nim rozniosta przestach po wszystkich chatach i zamkach Szkocyi nie pomiiając Awenelu. Lecz przewodnik pociągnął go za sobą; a z iego postaci widać było, iż lękał się czy nie za wiele powiedział o rzeczy tak niebezpiecznéy. W drugim końcu téy sali, zapukał powoli do małych drzwiczek, które natychmiast otworzył odzwierny.

—Oto iest, rzekł Michał, paź, który przywiózł rejentowi list od ryce-rza z Awenelu.

— Rada się rozpoczęła, odpowiedział odzwierny; lecz day mi ten list a ia go sam Reientowi zaniosę.

— Muszę go oddać w własne iego ręce, odpowiedział Roland: takie są rozkazy moiego pana. Odzwierny go zmierzył od stóp do głowy, zdziwiony iego zuchwałością, i rzekł tonem przykrym: Tam do kata, mój młody panku! za nadto śpiewasz głośno na

młodego kogutka, urodzonego pod wiejską strzechą.

— Gdyby czas i miejsce było po temu, odpowiedział Roland, pokazałbym ci że umiem coś więcej jeszcze. Lecz dopełnij twoich obowiązków, i powiedz twemu panu że oczekuję na jego rozkazy.

— Moich obowiązków! powtórzył odzwierny: ty śmiesz mówić mi o moich obowiązkach, lecz ja potrafię nauczyć cię twoich. Tymczasem czekaj tu dopóki cię nie zawołam. Torzekłszy zamknął drzwi i nie puścił go daléy.

Michał podczas téy sprzeczki usunął się za młodego towarzysza, podług zwyczaju dworaków wszelkich stopni i wszystkich wieków.

— Ty jesteś młodzieńcem nie lada, rzekł, ośmieliwszy się przystąpić do Rolanda i mój stary przyjaciel dobrze zrobił, że cię chciał zostawić w miej-

scu bezpiecznym. Jesteś pośród dworu dopiero od kilku minut, a tak się dobrze zawiątałeś, że odźwierny sali radney został śmiertelnym nieprzyjacielem twoim.

— Mało mnie to obchodzi. Nauczę tych wszystkich do których mówię, aby mi odpowiadali z grzecznością. Nie przyszedłem z Awenelu po to, aby mną poniewierało w Holyrood.

— Brawo! młodzieńcze, brawo! piękne zamiary, jeżeli nie tylko zdołasz przyprowadzić do skutku. Lecz cicho! otóż drzwi się otwierają.

Odźwierny ukazując się wówczas, rzekł z twarzą grzeczniejszą, że Jego wysokość reient chce natychmiast widzieć posłańca od rycerza z Awenel; i idąc przed Rolandem wprowadził go do sali gdzie się kończyła narada. Widać tam było wielki stół dębowy, obstawiony krzesłami z tegoż samego drzewa a w wyższym końcu

stało wielkie krzesło pokryte karmazynem. Pióra, kałamarze i różne papiery leżały w nieporządku, a dwóch tajnych radzców pozostałych iészcze, wzięto czapki i szable, a pozdrowiwszy uniżenie hrabiego Murray wyszło drzwami leżącemi naprzeciw tych któremi wszedł paż młody. Reient powiedział zapewne iaki żarcik, gdyż twarz dwóch wychodzących radzców, miała ten wyraz uśmiechu, na którym nie brakuje nigdy dworzanom, gdy władzca raczy żartować w ich obecności.

— Reient sam śmiał się z całego serca i rzekł do nich. Żegnam was Milordowie, nie zapomniycie polecić mnie pamięci koguta północy.

— Wtenczas zwrócił się do Rolanda i wszystkie rysy wesołości prawdziwéy czy też udanéy, znikły z jego twarzy tak szybko, iak zagładzaią się na powierzchni jeziora okręgi od upadającego kamienia, co go dziecko lub

podróżny wyrzuca. W iednéy chwili postawa jego przybrała wyraz naturalny, poważny, a nawet melancholiczny.

Ten człowiek znakomity, gdyż i naywięksi nieprzyiaciele nie odmawiali mu tego przymiotu, posiadał postawę pełną szlachetnéy godności i stosowną z dostojenstwem, które piastował; i gdyby był wstąpił na tron, iako prawy dziedzic, niezawodną iest rzeczą, że byłby słynął w historyi, iako ieden z naywiększych królów Szkocyi. Lecz osiągnąć władzę przez strącenie i uwięzienie swéy siostry i łaskawczyni, iest zbrodnią zasługującą na przebaczenie u tych tylko, w czyich oczach dumna usprawiedliwia niewdzięczność. Miał na sobie suknie z czarnego axamitu, kroiem flamandzkim i wysoki kapelusz z brylantową sprzączką na boku. Sztylet tkwił mu za pasem, a szabla leżała na stole.



Taki był człowiek, przed którym Roland Groemes znajdował się w téj chwili, z uczuciem boiaźliwego uszanowania, bardzo różném od zwykłéy iemu żywości i zuchwałości. W istocie, natura i wychowanie nadały mu tę pewność o sobie, daleką iednak od bezczelności, a wyższość moralna wynikająca bardziéy ze znakomitych talentów i sławy tych, z któremi obcował, więcéy na nim czyniła wrażenia aniżeli dostojęstwa i bogactwa. Byłby zniósł bez najmniejszego pomięszania przytomność hrabiego, odznaczającego się swym herbem i mitrą, lecz doznał widocznego wzruszenia, stając przed sławnym woiownikiem, znakomitym statystą, rządcą! narodu i dowódcą woyska. Naymędrsi i naywięksi ludzie, mile poglądają na hołd uszanowania, który im składa młodzieź. Murray z twarzą łaskawą wziął list podany od pazia i odpowiedział mu łagodnie na kilka słów,

które wyiakał Roland rumieniając się, gdy mu składał uszanowanie rycerza z Awenel. Zatrzymał się nawet na chwilę przed zerwaniem iedwabnego sznurka służącego za kopertę listu, i zapytał się o imie młodzieńca, tak uderzyły go przyjemne rysy i zgrabna postawa Rolanda.

— Roland Groemes! rzekł reient, powtarzając słowa pazia wyrzeczone z pomieszaniam; iak to! czy pochodzisz z familii Grahamów z hrabstwa Lennox?

— Nie, Milordzie, odpowiedział Roland: rodzice moi mieszkali na gruncie spornym.

— Murray nie czyniąc mu dalszych zapytań, zaczął czytać pismo. Podczas tego czytania oblicze iego przybrało wyraz nieukontentowania, iak gdyby dowiedział się o iakiéy rzeczy obudzaiący w nim zadziwienie i niesmak. Usiadłszy na naybliższém krześle, zmar-

szczył brwi, i przeczytawszy list 'po dwakroć, przez kilka chwil milczał; wreszcie wznosząc głowę, napotkał weyrzenie odźwiernego, który baczenie patrzył na niego chcąc wybadać co się działo w głębi iego duszy; lecz doyrzawszy, że reient poznał iego zamiar, starał się natychmiast nadadź swoiéy fizognomii ten wyraz nie nieznaczący, który zdaie się na wszystko patrzeć, nie nie widziéć; wyraz który zalecié można tym wszystkim, co iakikolwiek posiadaiąc stopień, przypuszczeni są w chwilach ważnych, do ludzi znakomitych dostoiénstwem. Wielcy mężowie, są równie zazdrośni swych myśli, iak żona króla Kandaula swych wdzięków, i niemniéy gotowi do ukarania tych, którzy nawet mimowolnie odkryli nagość ich umysłu.

— Wyddź, Hyndmanie, rzekł do niego reient surowym tonem, i gdzieindziéy popisuy się ze swoiemi talentami do-

strzegacza. Zarozumnyim iesteś, na urząd, który wypełniasz: nie przystoi on na człowieka z tak wysokiém, iak ty pojęciem. Bardzo dobrze, teraz masz minę głupca; staray się ią zawsze zachować, iezli chcesz pozostać na twoim miéyscu: oddal się.

Hyndman wyszedł pomieszany, i między przyczynami nienawiści, którą powziął przeciw Rolandowi, nie przepomniał i téy, że on był świadkiem tego potaiania.

Skoro się oddalił, hrabia Murray zwrócił się na nowo do Rolanda. Zdaie mi się żeś mówił, że się nazywasz Armstrong?

— Nie milordzie, nazywam się Roland Groemes. Rodzice moi, nosili przydomek Heathergill, i mieszkali na gruncie spornym.

— Tak, tak, wiedziałem że to iest rodzina z gruntuspornego. Czyż znasz się z kim w Edyburgu?

— Przybyłem tu od godziny dopiero. Milordzie, odpowiedział Roland: który wolał zbydź się tego pytania, niżeli wprost na nie odpowiedzieć, i czuł że nie byłoby rzeczą rozsądną opowiadać swoje zdarzenie z lordem Seyton: i to po raz pierwszy w życiu.

— Jakto! i iesteś paziem sir Alberta Glendinning?

— Paziem lady Awenel milordzie, i dopiero trzy dni minęło iak opuściłem iéy zamek, pierwszy raz od czasu iakem wstąpił do niego, czyli od mego dzieciństwa.

— Paziem damskim! rzekł reient pół-głosem, iakoby mówiąc sam do siebie: dziwną iest rzeczą że mi przysyła pazia swéy żony w interessie tak wielkiéy wagi. Morton powie, że to ma związek z wyborem iego brata, a iednakże młodzik bez doświadczenia może iest dogodniéyszym do moich wi-

doków. U czegoż się nauczyłeś w służbie lady Awenel?

— Polować, Milordzie, i . . . .

— Polować na króliki i łasice, rzekł hrabia Murray uśmiechając się z szyderstwem, bo na takie tylko zwierze polują damy.

— Polować na daniela i ielenie milordzie, odpowiedział Roland, któremu na ten przycinek rumieniec wystąpił na czoło. Lecz może te zwierzęta nazywają się w Edyburgu królikami i łasicami. Nauczyłem się także robić tym co nazywają u nas szabłą i kopią, a co tu może zowią trzciną i precikiem.

— Ty mówisz zuchwale, rzekł reient: lecz ci przebaczam, bo mi się podoba twoja otwartość. Znasz więc obowiązki wojennego człowieka?

— O tyle, ile teoria może nauczyć bez służenia w polu, milordzie; ponieważ pan nasz nie pozwala nigdy ludziom

swoim czynić wycieczek, i nigdy nie byłem tak szczęśliwy abym się znajdował w iakiéy bitwie.

— Szczęśliwy! powtórzył reient z gorzkim uśmiechem; wierzay młodzieńcze, woyna iest iedyną grą, w którój obie strony tracą.

— Nie zawsze milordzie, rzekł paż odzyskawszy odwagę, ieżeli sława nie iest zwodniczą.

— Co chcesz mówić? rzekł reient, którego twarz nagle zapłonęła się, bo miał podéyrzenie na Rolanda, że wspomniał o naywyższym stopniu, na który iego samego wyniosły domowe woyny.

— Chciałem powiedzieć milordzie: odpowiedział Roland tym samym tonem: że mężny zyskuie chwałę za życia, albo piękne wspomnienie po zgonie; przeto zdaie mi się, że woyna iest grą, w którój żadna strona tracić nie może.

Reient uśmiechnął się potrząsając głową. W téj chwili drzwi się otwarły i wszedł hrabia Morton.

— Przybywam śpiesznie, ponieważ przynoszę ci potwierdzenie moich wiadomości. Jak ci mówiłem, Edward Glendinning został opatem Świętęj Maryi, i....

— Wiem o tém milordzie, ozięble odpowiedział reient, lecz.....

— Lecz, może wprzódy niż ja o tém wiedziałeś, rzekł Morton, marszcząc gęste brwi.

— Mortonie! zawołał Murray, nie miéy mnie w podeyrzeniu; szanuy mój honor; musiałem wycierpieć tyle potwarzy od moich nieprzyjaciół, czyliż i przyjaciele rzucać będą na mnie niesłuszne podeyrzenia? Nie iesteśmy tu sami, przydał przypominaiąc sobie obecnego pazia, gdyż powiedziałbym ci co wiécéy.

Zaprowadził hrabiego Morton w ie-



dnę z tych głębokich framug od okna, wykutych w murze niezmiernéy grubości, i tworzących w pewnym względzie małe gabinetiki. Roland dostrzegł, że rozpoczęła się między nimi żywa rozmowa. Murray był poważnym i spokojnym; Morton zazdrośnym i obrażonym; lecz im dłużej mówili, czoło ostatniego coraz się więcej rozjaśniało.

Zapaliwszy się, zaczęli mówić głośniéy, i zapomnieli może, iż się znajdnie w sali, świadek, którego nie mogli widzieć z miejsca gdzie odbywali naradę; a Roland mimo woli musiał słuchać ich rozmów; bo chociaż był pażiem, nigdy nie można mu było zarzucić niewczesnéy ciekawości, i mimo całej odwagi jaką posiadał, nie zdołał od siebie oddalić téy myśli, że niebezpieczna jest słuchać tajnych narad dwóch ludzi potężnych i znakomitych; przecież nie mógł ani sobie zatkać uszu, ani

się oddalić bez rozkazu; i gdy rozmyślał jakimby sposobem przypomniat im że się przy nich znajduie, tyle iuż usłyszał, iż byłoby niebezpieczniejszą ieszcze rzeczą pokazywać się im nagle; postanowił przeto czekać spokojnie końca ich narady. To, co usłyszał, było iednakże tylko częścią ich rozmowy; a chociaż biegleyszy polityk, obeznany dobrze z czasowemi wypadkami, byłby łatwo odgadł o co chodziło, Roland mógł czynić tylko ogólne i niepewne domysły.

— Wszystko iest gotowém, rzekł Murray, i Lindsay odjeżdża. Nie może wahać się dłużej. Widzisz, że idę za twemi radami i na inne względy nie zważam.

— To prawda milordzie, rzekł Morton, że gdy idzie o dostąpienie władzy, nie wahasz się i prosto idziesz do celu; lecz gdy iesteś iuż panem cytradelli,

czyliż obmyślasz środki obrony i utrzymania się? Na co przy niey tak wielka liczba słuźalców? Czyż matka twoja nie ma dość liczne go dworu aby dla nich obóyga wystarczył; a ty dołączasz orszak niepotrzebny, a może i niebezpieczny?

— Wstydź się Mortonie! wstydź się! królowa!... moja siostra! mamże ją nawet pozbawić przynależnych iéy zaszczytów?

— Tak to wszystkie twoie strzały wypuszczasz, łuk naciągasz silnie i dobrze wymierzasz; ale wiatr przywiązania źle zrozumianego, napotyka ie w drodze i od celu odwodzi.

— Nie mów tego Mortonie. Na cóżem się nie ośmielił! czegoż nie uczyniłem!

— Wieleś uczynił dla zyskania zdobyczy, ale mało dla iéy zachowania. Czyż nie przewidujesz, że i ona myśli i ona działa? Zadałeś głęboką ranę iéy dumie i władzy. Napróżno

chciałbyś teraz zagoić tę ranę wlewając na nią balsam; to rzecz niepodobna. Na miejscu twoim, trzeba wyrzec się tytułu przywiązanego brata, dla pozyskania imienia biegłego i odważnego polityka.

— Mortonie! zawołał Murray nieco zniecierpliwiony, to co, zrobiłem, już się stało; co mi pozostać do dokonania, dokonam; lecz nie mogę znieść tych zarzutów, nie mam iak ty, bronzowéy duszy, nie mogę zapomnieć..... Dosyć na tém, wypełnię com postanowił.

— A ia się załóżę, rzekł Morton, że wybór tych pocieszycieli domowych padnie na....

Tu zniżył głos, wymieniając kilka imion, które uszły słuchu Rolanda. Murray odpowiedział mu tymże samym tonem, a paż usłyszał te ostatnie słowa: — I mogę mu zaufać, gdyż mi go zalecił Glendinning.

— Jest to zalecenie, w którym po-

winieneś wielką mieć ufność po jego postępowaniu w opactwie Świętęj Maryi. Wiesz o wyborze jego brata. Sir Albert twój ulubieniec, lordzie Murray, nie jest mniey czułym od ciebie na przywiązanie braterskie.

— Na Boga Mortonie! ten przyczynek zasługiwałby na odpowiedź surową; iednak przebaczam ci, gdyż idzie także o interes twego brata. Prócz tego ten wybór będzie uznanym za nieważny. Lecz winieniem ci oświadczyć hrabio Morton, że dopóki dzierżyć będę miecz państwa w imieniu króla mego siostrzeńca, żaden lord, żaden rycerz w całej Szkocyi, nie oprze się moięj władzy. Jeżeli cierpię zniewagi od moich przyjaciół, czynię to dla tego iedynie, że iestem przekonany o ich wierności.

Morton wyrzekł słów kilka, w których zdawał się uniewinniać; reient odpowiedział mu łagodniejszym tonem i przydał: — Prócz tego, pomimo za-

leceń Glendinninga, mam zakład wierności tego młodzieńca; naybliższa jego krewna oddała się w moje ręce dla zapewnienia mnie o jego gorliwości.

— To coś znaczy, odpowiedział Morton; lecz przez przyjaźń iaką mam dla ciebie, radzę ci byźdź ostrożnym. Nasi nieprzyjaciele ruszają się iak muszki w piękny wieczór ieselny. Jerzy Seyton chodził dziś rano po ulicach z orszakim dwudziestu ludzi, i stoczył walkę z moimi przyjaciółmi Leslemi. Spotkali się na Kanongate, iuź przemagali Leslowie, gdy straż mieyska rozdzieliła ich halabardami iak gdyby to była bitwa między niedźwiedziem i psami.

— Straż wykonała tylko mój rozkaz. Czy kto został rannym?

— Jerzy Seyton sam odebrał ranę od Black Ralfa Leslego. Niech szatan porwie tę szablę, która nie położyła go trupem. Lecz Ralfowi przeciął

głowę młody zapaleniec, którego nikt nie zna. Dick Seyton z Windigowl ma przeszyte ramię, i dwaj z Leslich są ranni; oto jest wszystko co zasługuje na uwagę; z resztą po dwóch czy po trzech ludzi z orszaku każdego woźdza pozostało na placu; straganiarki, iedyne osoby, które obchodzić może ich życie, podniosły ich, i zapewne zajmują się ich opatrywaniem.

— Bardzo lekko ważysz sobie ten wypadek Duglasie, rzekł reient do brabiego Mortona. Kłótnie takie i bitwy byłyby ochyłą stolicy Sułtana; a cóż mówić na to, że zdarzają się w kraiu chrześcijańskim, w państwie reformowaném? Lecz jeśli pożyję, podobne nadużycie nie długo potrwa. Gdy będą czytać moje dzieie, powiedzą, że chociaż wydarłem władzę méy siostrze, przecież umiałem użyć iey dla powszechnego dobra.

— I dla dobra twoich przyjaciół,

przydał Morton: i dla tego spodziewam się, że wydasz natychmiast rozkazy aby unieważnić wybór tego mniemanego opata Edwarda Glendinning.

— Natychmiast uczynię zadość twemu życzeniu, odpowiedział Murray: i wychodząc z framugi okiennéy:— Héy Hyndmanie! zawołał; lecz w téy chwili postrzegłszy Rolanda Groemes, przydał: na uczciwość Duglasie, myśmy we trzech odbywali naradę.

— A ponieważ tajemnica tylko między dwoma jest bezpieczną, przydał Morton, trzeba się pozbydź tego młodzika.

— Wstydź się Mortonie! to jest dziecko, sierota. Zbliź się młodzieńcze: wyliczyłeś mi twoje przymioty; czy umiesz także mówić prawdę?

— Gdy może mi bydź użyteczną, milordzie, odpowiedział Groemes.

— Będzie ci użyteczną, rzekł reient; gdyż najmnieysze kłamstwo cię



zgubi. Cóżś usłyszał i zrozumiał z naszej rozmowy?

— Bardzo mało, milordzie, odpowiedział Roland bez pomieszania: naywięcý to, że powątpiewano o prawości rycerza z Awenel, w którego domu wychowałem się.

— A cóż miałbyś powiedzieć o tym? zapytał rejent, przenikliwém spojrzeniem sięgając aż w głąb naytawniejszý iego myśli.

— To zależałoby od stopnia i stanu ludzi mówiących przeciw sławie tego, którego chleb jadłem tak długo. Gdyby byli niższemi odemnie, rzekłbym im, że kłamią i ukarałbym ich kiem; gdyby byli równemi mnie, powiedziałbym także że kłamią i wyzwał do walki. Gdyby byli wyższemi.... na tę słowa zatrzymał się.

— Mów, młodzieńcze, mów bez obawy, rzekł reient. Cóżbyś uczynił w tym ostatnim przypadku?

— Powiedziałbym, że nie przystoi oskarżać nieprzytomnego człowieka, i że pan mój potrafi zdać sprawę ze wszystkich swych czynów, każdemu, którokolwiek ośmieli się zapytywać go o nie w obec.

— Dobrzebyś powiedział, rzekł Murray. Cóż na to mówisz, Mortonie?

— Że ten młodzik podobny jest bardzo do iednego z naszych dawnych przyjaciół, tak z przebiegłości iak z rysów twarzy: może on co innego myśleć, a co innego mówić.

— I do kogóż jest podobnym?

— Do Juliana z Awenel, do tego wzoru prawości.

— Lecz ten młodzieniec urodził się na gruncie spornym.

— Cóż to znaczy? Julian nie iedną tam zrobił wycieczkę; a był dobrym strzelcem kiedy ścigał za łanią.

— Głupstwo, rzekł Reient, głupstwo. Hey! Heydman Przystap tu mości

ciekawski i odprowadź tego młodzień-  
ca do jego towarzysza. I bądźcie oba-  
dwa, rzekł do Rolanda, gotowi za  
pierwszym znakiem do drogi. Po tych  
słowach kazał im odejść.

\*\*\*\*\*

## R O Z D Z I A Ł VII.

Ach! tak, to jest to samo, co mi było trzeba,  
 O com w moich modlitwach co dzień błagał Nieba;  
 Jednakże nie wiem dotąd czy godzinę jest wiary...  
 Miałebym byż igraszką uwodzącęj mary?  
 Na szkle zwodniczym które, sztuka ogładziła,  
 Wzrusza martwe przedmioty niewidzialna siła.

*Dawna Komedya.*

Odźwierny, ukrywając iak mógł  
 najlepięj, głęboką nienawiść pod  
 oznaką powagi, zaprowadził Rolanda  
 Groemes do izby na dolném piętrze,  
 gdzie znalazł swego towarzysza sokol-  
 nika. Stanąwszy namięcscu, oznaymił  
 im w krótkich słowach, że ta izba bę-  
 dzie ich mieszkaniem dopóki nie podo-  
 ba się iego wysokości wydać im dal-  
 szych rozkazów, i że powinni o nazna-

ezonych godzinach przychodzić do piekarni, do piwnicy i do kuchni, dla odbierania przeznaczony dla siebie żywności i napoiów. Adam Woodcock, który już nie raz bywał we dworze, łatwo pojął te instrukcye. Na noc, przydał odźwierny, pójdziecie do domu Świętego Michała, gdyż pałac w téj chwili przepelniony iest dworzaninami pierwszój szlachty szkockiej.

Skoro odszedł: — No panie Roland! zawołał sokolnik z żywą ciekawością, iakież nowiny? powiedzżemi có się stało? Co ci powiedział reient? czy się nie pytał o Adama Woodcock? Czyż już ze mną kwita? czy też ieszcze trzeba trochę odpokutować za opata Głupstwa?

— Nie bój się o siebie mój Adamie, a co do reszty . . . . i po cóżeś odjął łańcuch z medalionem od moiej czapki?

— Trzeba było to zrobić. Ten totr odźwierny zaczynał się zapytywać: Co

to za bałamuctwa papieżkie nosisz na czapce? Na Świętego Huberta! byłby może skonfiskował łańcuch przez skrupuł sumienia, iak ową fraszkę którą mistris Lilia znalazła w Awenel w twoiéy kieszeni, a kazawszy ją stopić nosi teraz przy nogach w kształcie sprzączek. I czyż warto obciążać się temi kleynotami papistów?

— Nikezemnica! zawołał Roland, stopiła mój różaniec dla przyozdobienia nim swych brzydkich nóg, wołałbym go raczéy widzieć u goleni krowich. Ale niech się niem cieszy; wypłatałem nie iednego figla staréy Lilii, nie mając co innego do roboty; niechże te sprzączki zostaną iéy na pamiątkę. Przypominasz sobie, iakem iéy raz wlał do konfitur kwaśnego wina, gdy w święta wielkanocne wydawała śniadanie staremu Wingate?

— Czy pamiętam panie Roland? o! i dobrze! kto inny byłby nie złe plagi odebrał, ale łaska milady była murem

wznoszącym się zawsze pomiędzy twoją skórą i różgą; powinienes iéy bydz wdzięczny za wystawianie się w podobnego rodzaju okolicznościach.

— Nie zapomnę o nich Adamie, i dzięki ci za przypomnienie.

— Wszystko to pięknie i dobrze, ale nowiny? powiedzże mi co z nowin? Cóż się z nami stanie? cóż ci powiedział reient?

— Nic takiego coby warto powtórzenia, Adamie, odpowiedział paż wstrząsając głową.

— Ho! ho! zawołał sokolnik, godzina przepędzona u dworu, nadała ci już tyle przezorności? Wiele rzeczy w krótkim czasie dokazałeś panie Rolandzie. Biłeś się, Bóg wie dla czego! zyskałeś łańcuch złoty, Bóg wie iak! zrobiłeś sobie nieprzyaciela z pana odźwiernego; miałeś posłuchanie u pierwszego statysty i stałeś się milczącym iak gdybyś żył przy dworze od

chwili twego urodzenia. Lecz usiądź panie Rolandzie, Adam Woodcock nigdy nie pragnął zgłębiać tajemnic innych ludzi; a szczególniéy gdyś mu powiedział, że nie było mowy o opacie Głupstwa, co dla mnie iest nayważniejsza. Lecz usiądź, a ia wystaram się o żywność. Sokolnik odszedł dla zaięcia się tym ważnym interessem, a podczas iego nieobecności Roland Groemes zaczął dumać nad dziwnymi wypadkami dnia tego. Dwa dni wprzód, błąkał się ze starą krewną, któryéy marzeniom sam nie zupełnie wierzył, a teraz dostał się nie wiedząc iak, ani dla czego, uczestnictwa w ważnéy tajemnicy stanu, która dotyczyła ośbicie samego reienta. Prawda, że nie rozumiał doskonale na czém polegała owa tajemnica stanu, któryéy stał się mimowolnym świadkiem; lecz ta uwaga zamiast coby miała zmniejszyć iego zaięcie, większego dodawała mu



bodźca. Doznawał takiego uczucia iak ów człowiek przyglądający się po raz pierwszy romantycznój okolicy, którą rozpostarta mgła pozwala tylko odkrywać częściami: skały, drzewa i inne otaczające ją przedmioty, dające się tylko niedokładnie postrzegać, nabieraia, w oczach imaginacyi, która tworzy przepaście bez granic i wznosi góry wyżey nad obłoki, nowey okazałości i wdzięku.

Lecz rzadko zdarza się, szczególnię w wieku młodzieńczym aby człowiek oddawał się wnioskowaniom i domysłom wtenczas, gdy potrzeby ciała wołaią o zaspokoienie. Przeto nasz bohater; ieśli czytelnicy przystaną na przyznanie mu tego tytułu, nie rozgniewał się bynaymnię gdy przyiaciel Woodcock, przyniósł na drewnianym półmisku ogromną porcyą pieczeni, a na drugim nie mnieyszą kapusty, którą zowią w Szkocyi *lang-*

*kail.* Towarzyszył mu służący z wielkim gałsiorem piwa, chlebem, solą, i wszystkim czego do obiadu potrzeba.

Gdy zastawiono stół, i służący odszedł, rzekł sokolnik wzdychając, że od czasu iak bywał na dworach, przekonał się, że życie na nich stawało się przykrzeyszém ode-dnia do dnia, dla biednych ludzi z orszaku wielkich panów, że trzeba się rozpychać łokciami chcąc weyśdź do kuchni, i że niektórym ledwo się dostały obszarpane kości, a przy nich i przykre słowa. Gorzék się ieszcze działo przy drzwiach piwnicy: trzeba się było formalnie bić aby się do nich dostać, i ieszcze dawano tylko cienkusz zamiast piwa, którém szafowano niegdys. Mimo to, przydał, widząc że Roland iuż napoczął mięsiwa, sądzę, że zamiast ubolewania nad przeszłością, trzeba raczék korzystać z terażnieyszości i chwytac co się nawinie, aby zupełnie na koszu nie oσιάdź.

Po tych słowach, Adam przysunął krzesło do stołu i wyciąwszy nóż z za pasa, gdyż każdy w owym czasie był opatrzony tém główném narzędziem uczy, zaczął naśladować młodego towarzysza, który w téj chwili zapomniał swoich trosk o przyszłość, dla zaspokoienia apetytu zaostzonego młodocia i całodziennym trudem.

Chociaż uczta ich nie była zbyt okazałą, iednak nie obiadowali by z większym apetytem u królewskiego stołu; a Adam Woodcock lubo ganił pałacowe piwo, wypróżnił go cztery wielkie szklenice wprzód, nim sobie przypomniał, że mu ztorzezył przed chwilą. Zasiadłszy potém roskosznie w wielkiem krześle i zakładając na krzyż nogi, z miną człowieka bez trosków, przypomniał swemu towarzyszowi młodemu, że nie słyszał wszystkich zwrotek ballady, którą ułożył na uroczystość wyboru opata

Głupstwa. Muszę ci ją prześpiewać cała, rzekł do niego; i nie czekając odpowiedzi, zanucił pierwszą zwrotkę, którą śpiewał w kościele świętęy Maryi. Roland, iak to nam wiadomo, z niewielkiem upodobaniem słucał szyderstw, miotanych na to, co było dla niego przedmiotem czei: przerwał mu więc podnosząc się nagle, i zarzuciwszy płaszcz na ramiona, zabierał się do odejścia.

— Gdzież u czarta idziesz? krzyknął sokolnik. Czy nie możesz przez godzinę usiedzieć na mieyscu? musisz mieć w żyłach żywe srebro. Tak nie potrafisz bawić się w spokojném i rozsądném towarzystwie, iak rozkapturzony sokoł nie może usiedzieć na moiej pięści.

— Jeśli mam ci powiedzieć prawdę Adamie, odpowiedział paź, chcę przeyść się nieco dla obeyrzenia tego pięknego miasta. Wolałbym raczey

siedzieć w zamku pośród jeziora, niżli tu pomiędzy czterema ścianami, słuchając starych ballad.

— Starych! powtórzył Adam: co mówisz panie Roland? Jest zupełnie nowa, i zda się że najlepsza z tych, którem ułożył. A przypominasz sobie ostatnie wiersze:

Tańczmy i śpiewamy,

Głupców udawamy.

— Może to bydz, rzekł Roland, lecz słuchać iéy będę innym razem, gdy deszcz będzie padał, gdy obeyrzę to wszystko, co z taką ciekawością widzieć pragnę; teraz zaś, iako wcho-dzący na świat, muszę zaspokoić ciekawość.

— Lecz ja odpowiadam za ciebie, zawołał sokolnik, i nie zrobisz kroku bezemnie, dopóki nie oddam cię całego i zdrowego w ręce reienta. Jeżeli chcesz, możemy póysdz do gospody świętego Michała, tam to obaczemy dużo

ludzi, ale przez okno, słyszysz; bo jeżeli masz latać po ulicach dla szukania Leslich i Seytonów, i oberwać co od rapira lub sztyletu, o tém słyszeć nie chcę, ostrzegam cię.

— Dobrze, z całego serca, rzekł paż; chodźmy do gospody świętego Michała. Wyszli więc z pałacu, zdawszy wprzód dokładny rachunek ze swoich imion i godności, strażom zaciągającym na noc przed bramę: wypuszczono ich fórtką, gdyż główne wejście już było zaryglowane, i wkrótce przybyli do domu albo gospody Świętego Michała.

Był to budynek znaczney wielkości, wśród obszernego podwórza, wychodzącego na główną ulicę Edynburga, poniżey Calton-Hill. Gospoda ta podobna była raczey do karawanseraiu na wschodzie, gdzie podróżny nic nie znajdzie, prócz dachu i podłogi, aniżeli do terażniejszych domów zaiezdnych, gdzie:

„Byleś miał tylko złota obficie,  
„Możesz wesołe prowadzić życie.”

Jednakże hałas i zamieszanie panujące w tém miejscu przeznaczoném do publicznego użytku, nie było obojętném dla oczu Rolanda. Sami szukali wejścia do wielkiéy sali, gdyż ani gospodarz, ani żaden z służących nie przybył pokazać im drogi. W sali też pełno było podróżnych i mieszkańców miasta, którzy wchodzili i wychodzili, pozdrawiając iednych, rozpierając łokciami drugich. Tu pili, tam grali, tam znów śpiewali; każde towarzystwo nie dając uwagi na inne, sprawowało się iak gdyby sala wyłącznie była przeznaczona dla niego. Co za sprzeczny dla Rolanda widok, w porównaniu z porządkiem i regularnością iakiéy przestrzegano zawsze w zamku Awenel. W iednym kącie żartowano, śmiejąc się głośno, w drugim trwała kłótnia, lecz

każdy zajęty sobą i swoiemi, nie zważał co się działo w około niego.

Sokolnik przechodząc salę, znalazł próżny stolik blisko framugi okna, i usiadłszy przy nim z swoim młodym towarzyszem, kazał przynieść iedzenie i napóy. Powtórzywszy ze dwadzieścia razy całym gardłem ten rozkaz, doczekał się wreszcie, że służący przyniósł mu resztki kapłona na zimno, połowę wołowego ozora i flaszkę wina niby to francuzkiego; prosił ieszcze o butelkę brandweinu. „Musimy tego wieczora trochę pohulać panie Rolandzie, rzekł, i pozbyć się kłopotów do iutra.

Lecz Roland niedawno zjadł obiad, nie mógł spotkać się z tą nową uczcią, i czuł w sobie więcéy ciekawości niż apetytu. Poglądając przez okno, na wielki podwórzec okolony stajniami, ścigał oczyma wszystkie przedmioty przesuwaiące się po nim, gdy tymczasem Woodecock porównawszy swego



towarzysza do sokołów Lairda Macferlana, które wolały bawić się niż iść, brząkał po talerzu i szklance, śpiewał pół-głosem nutę ballady zniszczonej w chwili urodzenia i wybijał ręką takt na małym okrągłym stole, przy którym siedzieli; iednak rozrywkę tę przerywał mu niekiedy Roland okrzykiem zadziwienia, gdy na podwórzu uyrzał iaki przedmiot zajmujący go żywo.

I mógł się istotnie rozmaitych rzeczy napatrzeć, gdyż podczas zjazdu wielkiej części szlachty szkockiej do Edynburga, ich dworzanie, konie i powozy, zajmowały wszystkie oberże miasta. Tu widać było kilkunastu służących z zgrzebłem w rękę, chędożących konie swych panów; gwizdali oni śpiewali, śmieli się, częstując iedni drugich przycinkami, których ton i nieprzyzwoitość, dziwnie brzmiały w uszach młodego pazia przyzwyczajonego w zamku Awenel do skromności i

grzeczności; giermkowie czyścili orężę swoje i swych panów; rzemieślnik siedząc w kącie, malował drewniane kopie żółtym i czerwonym kolorem; dojeżdżacze trzymali gończe piękny rasy, z kagańcami na pyskach, dla ustrzeżenia się przypadku: wszyscy zaś szli, wracali, mieszały się z sobą, rozdzielali, przed oczyma zachwyconego Rolanda, którego wyobraźnia z trudnością mogła pojąć, iakim sposobem przedmioty te, które znał tak dobrze, mogły przedstawiać obraz tak rozmaity i tak miły dla niego. Co chwila więc przerywał spokojne dumania poczciwego Woodcocka, który myślał może o nowym zwrotce do swój ballady.

— Patrzaj Adamie, zawołał, czy widzisz tego cisawego konia? na Śgo Antoniego co za piękna noga! A ta klacz iasna, którą ten niezgrabiasz w zielonój kurtce czyści tak niezręcznie, iak gdyby z krowami miał

tylko do czynienia! Chciałbym go nauczyć iego rzemiosła. Lecz patrz na świetną zbroję Medyolańską, którą chędoży ten germek; samo srebro i stal, iak ta, którą nosi rycerz z Awenelu. A widzisz tę piękną mleczarkę przechodzącą z dwoma pełnymi dzbankami mleka? patrz iaka zmęczona, musi bydź daleko ztąd do mleczarni; czy nie widzisz iey w różowym gorseciku iak twój faworytkę Cysly Sunderland?

— Na moje sokoły panie Roland, szczęściem iest dla ciebie, żeś był w miejscu porządném i pobożném. Nawet w zamku Awenel już się dosyć rozruchałeś; lecz gdybyś był na zawsze pozostał dworskim sokołem, stałbyś się największym hultaiem ze wszystkich paziów, którzy noszą pióra na czapce, a myśliwski nóż za pasem. Day Boże aby to się skończyło dobrze! i zaczął rucić między zębami.

— Przestańże bębnić po stole i nie nudź mnie twoiém mruzeniem Woodcocku; zbliż się do okna wprzódym nim utopisz twój rozum na dnie téj butelki brandweinu. Widzisz tego minstrela wchodzącego na podwórze w towarzystwie tancerki z małemi u nóg dzwoneczkami: patrz, patrz, wszyscy gromadzą się dla słyszenia muzyki, co jest rzeczą bardzo naturalną. Chodź Adamie, chodź, przysłuchajmy się im z bliska.

— Niech mnie nazwą dudkiem lub iastrzębiem, jeśli dla nich ruszę się z mieysca. O czém myślisz panie Rolandzie? Jeżeli lubisz muzykę, możesz ją słyszeć nie chodząc tak daleko, lecz ty nie chcesz mnie słuchać.

— Lecz młode dziewczę w różowym gorscciku śpieszy tam Adamie. Otóż zabierają się do tańca. Szara kurtka ma ochotę tańczyć z różowym

gorsecikiem, ale różowy gorsecik — coś nie przystaie na to.

Nagle zmieniając swój ton wesoły na okrzyk podziwienia i zaięcia, zawołał:

— Królowo nieba! cóż to ja widzę?

Wymówiwszy te kilka słów, zamilkł, nie odrywając oczu od podwórza. Adam Woodcock, który udawał że gardzi postrzeżeniami pafia, bawił się przecież niemi: chciał więc znowu pobudzić go do gadania, w téj nadziei, że mu potrafi wytłómaczyć co go zadziwiło, a tém samém popiszę się ze swoją znajomością życia dworskiego.

— I cóż to panie Rolandzie, rzekł mu, cóżes takiego zobaczył, co ci zawiązało usta?

Roland nic nie odpowiedział.

— Powiadam ci panie Rolandzie Groemes, że w moim kraju grzeczność każe odpowiadać na zapytania.

Roland ciągle milczał.

— Diabeł go opętał, zawołał sokolnik. Musiał połknąć swóy język, i zdaie mi się, że oczy wylizają mu z głowy.

Wychylając na prędce szklanicę podniósł się i przybliżył do Rolanda, który z najwyższą ciekawością ciągle wlepił oczy w podwórze. Chciał poznać w co się wpatruie, ale postrzegł, że Roland przyglądał się niezbyt licznój gromadzie rozmaitych ludzi, aby można było rozpoznać przedmiot który go przyciągał.

— Musiał oszaleć, pomyślał sokolnik.

Roland dziwił się jednak nie bez przyczyny, chociaż nie uważał za rzecz potrzebną powierzać iey swemu towarzyszowi.

Dźwięki harfy minstrela już przyciągnęły liczny tłum, gdy Roland uyrzał wchodzącą na podwórze nową osobę, która wyłącznie zwróciła jego

uwagę. Był to młodzieniec równego z nim wieku, chociaż mniejszý postawy, a iego ubiór i postać oznaymiały, że piastuie tenże sam urząd, gdyż na iego twarzy widać było nieco przebiegłości pazia, i ubrany był w wykuintne suknie, ukryte w części pod wielkim purpurowym płaszczem. Wchodząc, podniósł głowę ku oknom, a Roland z naywiększým zadziwieniem, pod czapką z purpurowego axamitu, ozdobioną piórem białém, rozpoznał rysy głęboko wyryte w iego wspomnieniu: te oczy wielkie błękitne, pełne życia i wyrazu, te brwi zaokrąglone, ten nos nieco orli, te rubinowe usta, których uśmiech był zwykłym wyrazem; iedném słowem twarz i postać Katarzyny Seyton, przebranéy w męzkie suknie graiácéy do niepoznania rolę roztrzępanego pazia.

— Święty Jerzy i Święty Andrzeiu! rzekł sam do siebie z zadziwieniem; czy-

liż widziano kiedy tyle odwagi w młódey dziewczynie? Jednakże wstydzi się nieco téy maskarady, bo ma żywszy rumieniec niż zazwyczaj, i iak może twarz zasłania płaszczem. Lecz, Święta Maryo! iakże śmiało przeciska się przez tłumy? Święci patronowie! podnosi kiy iak gdyby chciała przetrzepać tych, którzy zawadzaią iéy przeysciu. Na duszę moiego oycy! z nieyby powinni brać wzór wszyscy paziowie. No i cóż? ezy chce uderzyć szarą kurtkę?

Nie długo wątpił o tém, gdy bowiem szara kurtka, o którój iuż tyle razy mówiliśmy, zawadzała paziowi i nie chciała ustąpić z drogi, tak mocno skropił ją przez plecy, że się wykręciła na bok, chwytaiąc za obrażoną część ciała i klnąc ze złości. Roland iuż chciał biedz na pomoc Katarzynie, lecz spostrzegł że biedak nie miał żadnego obrońcy, i istotnie w epoce owéy nie bardzo było bezpiecznie zadzierać z paziami, tak więc i nie-



borak, który był jednym ze słuźalców gospody, zaczął znów zgrzebłem czyścić klacz swoię, pośród śmiechu wszystkich widzów, a szczególnięy dziewczyny w różowym gorseciku, która zbliżając się do przebranego pazia, z postawą i ułożeniem bardzięy zakrawaiącém na słuźącą oberży wielkiego miasta, niżeli na wieyską mleczarkę, rzekła: — Mój młody paniczu, czy kogo szukasz, że ci tak pilno?

— Tak iest, odpowiedział paź mnie-  
many; chcę mówić z młodym wietrznikiem, który ma czarne włosy, czarne brwi, czarne oczy, płeć białą, kaftan zielony, gałazkę ostokrzewu na czapce, a minę prowincjonalnego panka. Na próżnom go szukał po wszystkich ulicach Kanongatu. Nie wiem czy go diabeł porwał.

— Jak to? co? co ona mówi? zawołał Roland w duchu, bardzięy ieszcze zdziwiony.

— Widziałem iak tu wszedł młody szpak podobny do tego opisu, odpowiedziała mleczarka; wraz z iakimś starym piakiem. Pójdź za mną, może go znajdziemy w wielkiéy sali.

Jeżeli dokażesz tego, rzekł paź idąc za nią, dam ci dzisiay sztukę srebrną, a całus w niedzielę gdy przypasziesz biały fartuszek.

— Jak to? co? rzekł do siebie Roland; na uczciwość nic nie poymię!

Prawie w téyże saméy chwili mleczarka weszła do sali, z osobą wzbudziącą zadziwienie młodego Groeme

Gdy ta dwu-płciowa istota przebiegała salę z nayśmielszą miną, rzucając niełękliwe weyrzenia na zebrane tam gromadki, Roland zdziwiony i zmięszany tém co widział i słyszał, uważał to pomięszanie iako niegodne śmiałego i przedsiębiorczego charakteru, który okazywać pragnął; postanowił przeto nie dadź się omamić téy nadzwyczajnéy

dziewczyńie i przystąpić do niéy z twarzą tak przebiegłą, tak złośliwą i przenikającą, iż przekona ją, że ją poznał i że jest panem iéy tajemnicy, a przez to zmusi do ukorzenia się przed nim, albo też przynajmniéy do błagania weyrzeniem o litość.

Plan ten bardzo dobrze ułożył sobie; lecz właśnie w téy chwili kiedy Roland przywoływał na pomoc tych przebiegłych weyrzeń, tego utajonego uśmiechu, tego rzutu oka wzajemnie porozumiewającego się, który miał zapewnić iego tryumf, spotkał weyrzenie niezmięszane i pewne swego współ-towarzysza czy współ-towarzyszki, pazia w purpurowym kaftanie, który poglądając nań wzrokiem orlim, i poznając że to był ten sam kogo szukał, zbliżył się doń z postacią swobodną, i rzekł do niego tonem łagodnym i poufałym:— Mości Gałązko Ostokrzewu, chciałbym ci powiedzieć parę słów. Głos wymawia-

iący te wyrazy, był ten sam, który słyszał w klasztorze Świętęy Katarzyny; rysy, które miał przed oczyma, zdawały mu się ieszcze podobnieyszemi do Katarzyny Seyton, niż wtenczas gdy ie widział zdala na podwórzu; a iednakże krew zimna i zaufanie w sobie, z iakim paż mniemany przemawiał, tak pomięszwały myśli Rolanda, że zaczął wątpić czy go zmysły nie odbiegły. Weyrzenie złośliwe, którém chciał uzbroić się, ustąpiło miejsca wstydliwęy boiaźni, a uśmiech porozumiewania, był tylko bezsilnóm usiłowaniem dla pokrycia dręczącęy go niespokojności.

— Czy w waszym kraiu nie rozumieią po szkocku? panie Gałazko Ostokrzewu? rzekła niezbadana istota: mówiłem, że chcę z tobą pomówić.

— Jaki masz interes do mego towarzysza, mój ty młody kogutku? rzekł Woodcock chcąc dopomódz swe-

mu przyicielowi, chociaż nie mógł pojąć jakim sposobem nagle odbiegła Rolanda przytomność umysłu i żywość.

— To do ciebie nie należy, mój stary kogucie, odpowiedział paż w purpurowym kaftanie. Wtrącaj się do twoich sokołów, widzę po twoim worku i rękawicy, że iesteś kapralem w kompanii drapieżnych ptaków. Tym słowom towarzyszył śmiech tak szczerzy i naturalny, że przypomniał Rolandowi wesołość Katarzyny i żarty iéy z niego przy pierwszém widzeniu się w klasztorze, i zaledwie że nie zawołał: — Na Nieba! to Katarzyna Seyton! iednakże poskromił to wzruszenie i ozwał się tylko: Zdaie mi się piękny paziu, że nie iesteśmy sobie zepetnie obcemi.

— Jeżeliśmy się kiedy widzieli, to chyba we śnie; a nadto mam dziennych zatrudnień abym pamiętał o snach nocnych.

— Albo raczék byś sobie przypomniak wieczorem coś widziak z rana?

Paż w purpurowym kaſtanie poyrzał na niego z zadziwieniem. Nie rozumiem! zawołał, co mówisz. Jeżeli chcesz kłócić się ze mną, wytłómacz się iaśniék, a natychmiast dam stósonną odpowiedź.

— Chociaż ci się podoba mówić do mnie iako do nieznaiomego, rzekł Roland, powinienes mnie znać aż nadto i wiedziék że nie pragnék wchodźć w najmnieysze z tobą zatargi.

— Dobrze więc! pozwól niech się uiszczék z mego poselstwa i odczepię się od ciebie. Chodź tu za mną, aby ta stara rękawica skórzana nie słyszała słów naszych.

To rzekłszy, zaprowadził Rolanda do okna, zkąd przed chwilą dostrzegł go wnuk Magdaleny, i odwróciwszy się tyłem do całego towarzystwa, obeyrzał się w około czy kto ich nie pod-

słuchacie, dobył z pod płaszcza krótkiéy szabli, którój rękoieść srebrna wyłacana, kunsztownéy była roboty, a pochwa ze złotéy lamy. Oddając ją Rolandowi, rzekł: — Przynoszę ci tę szablę od przyjaciela, który ci ją ofiaruje, pod uroczystym warunkiem, że iéy nie dobędziesz z pochwę, dopóki cię nie zawezwie twoja prawa monarchini. Znaią twój niepowściągniony charakter i łatwość z jaką mięszasz się do sprzeczek; jest to więc kara nałożona na ciebie przez tych, którzy chcą twego dobra, i których ręka wpływać będzie na twoje przeznaczenie korzystnie lub zgubnie dla ciebie. Otóż i wszystko co mam oznaymić tobie. Przeto, jeśli zechcesz dać mi słowo nie zachwia-  
ne i przyrzeczenie uroczyste, że dopełnisz warunku, o którym ci mówiłem, ta szabla jest twoją. Jeżeli zaś przeciwnie, odaiosę ją tym, którzy ci ją przystali.

— A nie mogęż zapytać, kto mi ten dar ofiaruje? rzekł Roland, przyglądając się piękności przyniesionego oręża.

— Nie iestem upoważnionym odpowiadać na to pytanie.

— Lecz ieśli mię kto zaczepi, nie mogęż użyć téy szabli w moiéy obronie?

— Nie, téy nie można. Czy nie masz swoiéy? a prócz tego: od czego nosisz ten sztylet?

— Na nic dobrego, rzekł Adam Woodcock zbliżając się do nich, o czém mogę zaświadczyć iak o czémkolwiek bądź inném.

— Oddal się mój stary, rzekł paź w purpurowym kaftanie; iesteś zbyt ciekawym, a ciekawość łatwo może oberwać policzka, ieżeli się wmięsza w nieswoie rzeczy.

— Policzek! młodziku nierozważny, rzekł Adam Woodcock cofając się o dwa kroki. Strzeż się, bo za iednym policzkiem może nastąpić drugi.



— Oddal się Adamie; miéy trochę cierpliwości, widzisz że mamy z sobą co do mówienia, rzekł Roland, i odepchnął go ku stołowi, a sokolnik nie wiedząc co o tém myśleć; usiadł w milczeniu, nalał sobie szklanę wódki i zaczął gwizdać nutę ballady:

— Teraz, mój współ-towarzyszu, rzekł Roland, ponieważ trzeba tak cię nazywać, kiedy nie pozwalasz nadawać sobie innego imienia w téy chwili, czyż nie mogę przynajmniej choć raz wyciągnąć téy szabli z pochew, dla oheyżenia czy ostrze iest tak dobre, iak piękna rękoieść?

— Nie, bynajmniej. Nie mogę ci iéy zostawić inaczéy, tylko pod obietnicą, że w żadnym przypadku ani pod żadnym pozorem iaki bydź może, nie dobędziesz iéy z pochew, dopóki na to nie otrzymasz rozkazu od twéy prawéy monarchini.

— Poddaię się temu warunkowi,

rzekł Roland biorąc szablę, i przyy-  
muję tę broń, ponieważ mi ją twoja rę-  
ka podaie. Lecz jeżeli mamy, iak mi  
się zdaie, pracować wspólnie nad ia-  
kim wielkim zamiarem, koniecznie po-  
trzeba nieco więcéy poufania i otwarto-  
ści z twéy strony, aby moja gorliwość  
i natchnienie więcéy miały popędu.  
Nie nalegam na ciebie w téy chwili,  
spodziewam się, że i tak mnie rozumiesz.

— Ja ciebie rozumiem! zawołał paż  
mniemany czy prawdziwy, zabił mię jeśli  
to prawda. Porozumienie się, iak gdy-  
by zachodziła pomiędzy nami iaka in-  
tryga, gdy oto pierwszy raz widzie-  
my się.

— Jak to! będzieszże twierdzić, żeśmy  
ieszcze nie widzieli się z sobą?

— Bez wątpienia, a nawet przed ka-  
żdym sądem chrześciańskim.

— I zaprzeczasz temu zapewne, że  
nam kazano wzajemnie wpatrywać się  
dobrze w rysy nasze, aby pod ia-

kiémkolwiek przebraniem spotkawszy się, mogło każde z nas rozpoznać w drugim tajnego działacza w wielkim przedsięwzięciu? Czyż nie przypominasz sobie, że Magdalena i stara Brygita?....

— Brygita! Magdalena! powtórzył paż wznosząc ramiona i rzucając nań wzrokiem politowania: albo marzysz, alboś oszalał? Czy twój umysł błąka się po xiężycu? Wierzay mi Mości Gałazko Ostokrzewu, napiy się grzanego wina, włóż wełnianą szlafmycę na twoię słabą głowę, a ia będę się modlił, żebyś iutro rano wstał zdrowszym.

Po tak grzeczném pożegnaniu iuż odchodził; lecz go zatrzymał Adam Woodcock, gdy szedł około stołu: mówiąc: — Młedzieńcze, teraz gdyś ukończył twoie interessa, czy nie wypiesz z nami brandweinu? Usiądz i posłuchay wesołéy piosnki. I nie

czekaiać odpowiedzi, zaczął pierwszą zwrotkę sławnéy swoiéy ballady;

Papież dumny ze swéy władzy  
Chce zaślepić nas . . . . .

Widoczną było rzeczą że wino i wódka, mocno działały na głowę sokolnika, inaczéy, byłby zapewne pomyślał nad niebezpieczeństwem mówienia o polityce albo żartowania z religii, w licznein towarzystwie, złożonem z osób których nie znał sposobu myślenia, a do tego w epoce powszechnego wzruszenia umysłów. Lecz oddaymy mu sprawiedliwość: poznał swóy błąd i zatrzymał się, skoro postrzegł, że słowo *papież*, przerwało rozmowę kilku zgromadzonych towarzyszków; że ieden podnosząc się i marszcząc brwi, chwycił za oręż, gotuiąc się do spodziewaney bitwy, a inni rozsądnieysi, spieszyli się z opłatą należytości, zabieraiąc się do odeyscia wprzódy, nim burza wybuchnie.

J wszystko okazywało że nie długo wybuchnie, gdyż zaledwie pierwsze słowo piosnki sokolnika doszło uszu pazia w purpurowym ubiorze, tenże podnosząc szpicrutę, groźnym tonem zawołał: — Ktokolwiek ośmiela się, z nieuszanowaniem mówić o oycu świętym przedemną, narodził się z heretyckiej suki, i obedyę się z nim iak z psem złośliwym.

— A ia ci pokruszę kości, mały szpicu, odpowiedział Adam, ieżeli będziesz śmiał dotknąć mnie końcem twoiego palca. I w téj chwili iak gdyby urągając zagrożeniom młodego pazia zaczął śpiewać głosem mocnym:

Papież dumny ze swéj władzy

Chce zaślepić nas

Lecz ten nieuk . . .

Nie mógł nucić daléy, gdyż zaledwie wymówił to słowo ostatnie, uderzenie kiiem po twarzy, wzrok mu zaćmiło.

Rozsrożony uderzeniem i zniewagą, Adam nie widząc nic, rzucił się na swęgo przeciwnika, i byłby mu nie źle odpłacił, gdyby Roland grając w téj chwili rolę rozsądnego pośrednika, wpadłszy pomiędzy nich nie zawołał. —

— „Bądź rozsądniejszym Woodcocku, nie wiesz z kim masz do czynienia: a ty, rzekł do pazia który iak się zdawało cieszył się z wściekłości sokolnika, ktokolwiek iesteś, ustap: ieżeli iesteś tém za co się poczytuie, powinienes pamiętać, że dla ważnych pobudek musisz unikać kłótni i bitwy.

— Na ten raz, Mości Gałazko Ostokrzewu, rzekł paż nie znaiomy, trafiłeś dobrze chociaż mierzyłeś na los! Hey, chłopcze, postaw tu kufel wina temu staremu burdzie, aby sobie prze-mył oczy, a to są pieniądze na plaster.

Po tych słowach, rzucił na stół kilka sztuk srebrnych, oddalił się spokojnym i pewnym krokiem, pogłada-

iąc zuchwale na prawo i na lewo, iak gdyby chciał okazać, że spotka się z każdym coby chciał go wstrzymywać; spoyrzał z pogardą na dwóch czyli trzech mieszczan, którzy nie mogąc ścierpieć, że iakiś młodzik ogłaszał się obrońcą papieża i znieważał dobrego protestanta, mieli ochotę wziąć się do szabel. Lecz gdy dostrzegli że ich przeciwnik już się oddalił wprzody nim się namyślili ścigać za nim, odstąpili od swoich zamiarów, mówiąc ieden do drugiego.—Na uczciwość, znieść nie można aby się podobnie obchodzono z biednym człowiekiem, za to, że śpiewał balladę przeciw szkaradzeństwu Babilonu. Jeżeli pozwolą papistom krzywdzić nas publicznie, obaczemy nie długo całe gromady starych mnichów.

— Policya powinna tego doglądać, odpowiedział drugi i mieć zawsze na pogotowiu pięciu lub sześciu ludzi dla

przyrowadzenia do porządku tych czcicieli obrazów. Lecz widzisz, sąsiedzie Logleather, nie należy spokojnym obywatelom mięszać się do sprzeczki z paziami, zuchwałemi, należącemi do możnych: oni znają tylko przekleństwa i gwałty.

— Mimo to wszystko sąsiedzie, rzekł Logleather, byłbym wygarbował skórę tego młodzika, tak łatwo iak cielęcą, gdyby mi się szabla nie była zaplątała pod płaszczem tak, że nim ię dobyłem, łotr iuż był za drzwiami.

— I lepięy się stało sąsiedzie, rzekł trzeci, niech idzie do wszystkich diabłów a nas zostawi w pokoju. Oto zapłaćmy co się od nas należy i chodźmy spokojnie. Dzwonią iuż na zagaszenie ognia, a na ulicy nie iest bezpiecznie gdy noc zapadnie.

— Dobrzy mieszczanie poprawili płaszczów zabieraiąc się do odeycia, a ieden nayodważniejszy z nich, wspie-



rając się na rękoieści szabli, rzekł, że ktokolwiek chciałby mówić za papieżem tego wieczora na wielkiéy Edyburgskiéy ulicy, dobrze zrobi ieśli się uzbroi mieczem Śgo Piotra.

Gdy tak zły humor obudzony śmiałością zarozumiiałego młodzieńca, zniknął, zamieniając się w próżne pogrożki, Rolandowi Groemes trudniéy przyszło poskromić oburzenie Adama Woodcock.

— Mimo to wszystko, rzekł do niego, niechący uderzył cię; otrzyy sobie oczy, a wkrótce iaśniey będziesz widział.

— Na nieba, nic nie mogę widzieć, odpowiedział Adam, lecz dzisiay nie okazałeś się prawdziwym przyjacielem. Zamiast ująć się za mną, ieszcześ mi przeszkodził.

— Czyż się nie wstydzisz Adamie? rzekł Roland, postanowiwszy raczéy czynić mu wyrzuty, niż ie znosić od nie-

go, i grać rolę przyjaciela pokoju i spokojności; wstydź się powtarzam ci! i tyż to przemawiasz w ten sposób? ty którego wysłano ze mną abys strzegł moiéy niewinnéy młodości?

— Chciałbym z całego serca, aby twoja niewinna młodość miała powróż (u szyi! krzyknął Woodcock, zaczynając się dorozumiewać do czego zmierzały te słowa.

— I zamiast, mówił daléy Roland, dawać mi przykład mądrości i trzeźwości, iak powinien to czynić sokolnik sir Alberta Glendinning, ciągniesz mię aby pić z tobą nie wiem wiele gąsiorów piwa, ile kwart wina i kuflów wódki.

— Gąsior był mały, rzekł Adam, czując że musi tylko mieć się obronnie.

— Był dosyć wielkim na twoię głowę Adamie; i zamiast pójść spać dla wytrzeźwienia, zaczynasz śpiewać złośliwą balladę na papieża, za którą cijało

oczów nie wyięto. Bezemnie, chociaż upoiony trunkiem oskarżasz mnie niewdzięcznie o obojętność dla ciebie, bezemnie mówię, ten młody paź byłby ci podciął gardło, bo widziałem iak iuż wyymował szablę, szeroką iak ręka a ostrą iak brzytwa. I toż to iest przykład iaki daiesz młodzieńcowi bez doświadczenia? wstydz się Adamie, wstydz się.

— Tak, wstydzę się, wstydzę z całego serca, rzekł sokolnik trzymając rozpostartą chustkę na oczach; wstydzę się z mego szaleństwa, że spodziewałem się czego innego, nie zaś szyderstwa, od pazia takiego iak ty, który gdyby nawet widział oycę własnego w nieszczęściu, śmiałby się, zamiast biedz mu na pomoc.

— Pomogę ci mój dobry Adamie, odpowiedział Roland śmiejąc się w duchu; pomogę ci abys trafił do izby; tam wytrawisz téy nocy twoie piwo, wino

wódkę, gniew i oburzenie, i obudzisz się jutro z umysłem zdrowym i trzeźwym. Lecz ostrzegam cię Adamie, że na przyszłość gdy ci się spodoba zarzucać mi, że mam rękę zbyt prędką do sztyletu i szabli, twoje uwagi posłużą za wstęp do pamiętnéj awantury w gospodzie Ś. Michała.

Tak to pocieszając upokorzonego sokolnika, zaprowadził go Roland do izby im przeznaczonéj, po czém sam położył się, lecz nie prędko mógł zasnąć. Jeżeli paziem którego widział, była istotnie Katarzyna Seyton, iest więc amazońską dziewicą, iakiéy nie bywało nigdy. Jakaż władza nad sobą! iaka zuchwałość i zaufanie! Śmiałość iéy czoła, pomyślał Roland, wystarczyła by dwudziestu paziom, a ia przecież znam się na tém. A iednakże rysy, weyrzenie, twarz śmieiąca się, zakrywanie się płaszczem... cieszę się, że przynajmniéy to uczyniła. Głos iéy, u-

śmiej, wszystko oznaymiało Katarzynę Seyton, albo też diabeł przybrał iéy postać. To przynaymniéy dobrze, żem się uwolnił od wiecznych kazań tego Adama Woodcock, tego osła, który ledwie co porzuciwszy swoje sokoły, chce ze mną grać rolę nauczyciela.

Ta pocieszająca uwaga, połączone z pewnym rodzajem obojętności, z iaką młodzież zwykle patrzy na wypadki życia, sprowadziły Rolandowi Groemesen głęboki i spokojny.

\*\*\*\*\*

## ROZDZIAŁ VIII.

Bierzesz mu przyjaciela, który wierny w słowie  
 Prowadził go, doglądał iakby oka w głowie.  
 Przyuczał w dworskiéy służbie iak w locie sokoła.  
 Cóż bez tego doradcy, daléy począć zdoła?

*Dawna Komedya.*

Nazaiatrz, zaledwie że dzień zaczął  
 świtać, usłyszano mocne stukanie do  
 drzwi gospody, a ponieważ przychodzą-  
 cy oznaymili że ich reient przysyła,  
 otworzono iak nayspieszniéy. Za chwi-  
 lę Michał *Szybkie-skrzydło* stał przed  
 łóżem naszych podróżnych.

— Wstawaycie, wstawaycie! zawołał:  
 nie czas spać kiedy hrabia Murray po-  
 trzebuie was. Dway śpiący, obudzili się,  
 wstali natychmiast i zaczęli się ubierać.

— Ty, mój stary przyjacielu, rzekł Michał do Woodcocka, wsiądziesz na konia w téj chwili; odwieziesz ten list mnichom Kennaquhairu, a ten rycerzowi z Awenel. I mówiąc te słowa wręczył mu dwa listy.

— Jeżeli tyce się unieważnienia wyboru opata, rzekł Woodcock, kładąc oba listy do worka, nie mogli wybrać lepszego pościa. Będzie to opat przeciw opatowi; jeden na drugiego. Amniemam że memu panu polecono czuwać nad tém?

— Wszystko to nie należy do ciebie mój stary, rzekł Michał. Twoim obowiązkiem jest wzięść natychmiast na konia, gdyż jeżeli rozkazy które niesiesz, nie będą wykonane co do litery, w gruzy zamieni się opactwo Kennaquhair a może i zamek Awenel; słyszałem hrabiego Morton mówiącego groźnie z reientem; a teraz nie zajmują się fraszkami.

— Wszystko to piękne i dobre, rzekł Adam; lecz mówmy nieco o opacie Głupstwa. Czy jest tam co o nim w tém wszystkiém? Na uczciwość! gdyby mu chciano wypłatać iakiego figla, posłałbym listy do wszystkich diabłów, a iego świętobliwość przeniósłbym dla bezpieczeństwa na drugą stronę granicy.

— Nie myślą nawet o nim; odpowiedział Michał; bo wiedzą że to jest szaleństwo z którego więcéy wynikło hałasu niż złego. Nie miéy żadnéy obawy o przeszłość; lecz strzeż się, mój stary kamracie, a iezeli spotkasz na drodze choć ze dwanaście wakuiących opactw, nie kładź mitry na głowę, nawet iako opat Głupstwa. Czas nie po temu: panienka o którę ci mówiłem ma wielką ochotę zarzucić swe rączki około szyi iakiego tłustego mnicha.

— Nie będzie ona nigdy pieścić się z moią, w téy godności, rzekł Wood-



cock, ogorzała swoją szyję obwiiając kolorową chustką. Panie Rolandzie! panie Rolandzie! zaczął wołać w téjże chwili: Spiesz się spiesz! trzeba wrócić na grzędę. I bardziéy dzięki Niebu niż naszéy roztropności dostaniemy się na nią w niepodziurawionych kaftanach.

— Młody paż nie wraca z tobą, rzekł Szybkie-skrzydło: reient inaczéy nim rozrządził.

— Święci pańscy! zawołał sokolnik; Roland Groemes ma tu zostać kiedy ja wracam do Awenelu! to niepodobna! Jakże chcesz aby młody człowiek bezemnie prowadził się na świecie? Jest to sokoł który zna mnie tylko świeńciu, chociaż nie zawsze go słucha.

Język świerzbiał Rolanda. Miał wielką chęć zapytać Woodcocka, ktoz nich sprawiał się rozsądniéy dnia wczorajszego: iednakże prawdziwy smutek Adama przy rozstaniu się z nim, odjął mu ochotę do żartów; lecz mimo zamileze-

nia pazia, sokolnik niewywinął się całkiem, bo gdy się zwrócił ku oknu, Michał spojrzawszy przypadkiem na twarz jego zawołał: Dobry Boże! stary mój towarzyszu cóż to się zrobiło z twoimi oczyma? tak ci napuchły iak gdyby chciały wyysść z głowy!

— To nic, to nic, rzekł Adam rzucając błagające weyrzenie na Rolanda. Takie to skutki gdy człowiek spi na nędznym bartogu, bez poduszki.

— Zdelikatniałeś niezmiernie Woodcocku! widziałem cię niegdyś zasypiającego smacznie z głową o krzak opartą, a przecież z rana budziłeś się rażony iak sokół; a dziś twoie oczy podobne są do

— Mnieysza do czego są podobne! myślny o śniadaniu; zjedzmy po iabłku pieczoném, zrośmy ie flaszą piwa dla orzeźwienia gardła, a obaczysz iak się odmienię.

— I będziesz śpiewał twoię balladę o papieżu?

— Z całego serca; to jest iak będziemy o pięć lub sześć mil od tego dobrego miasta, jeżeli zechcesz mnie odprowadzić.

— Nie podobna, Adamie; to tylko mogę dla ciebie uczynić, iż zjem z tobą śniadanie, po czém musisz zaraz wsiadać na koń. Idę kazać go okulbaczyć, rozkażę piec jabłka i przynieść piwa. Nie trać czasu.

Gdy odszedł, dobry sokolnik biorąc Rolanda za rękę, rzekł:— Obym nigdy nie zakapturzył sokoła, jeżeli się nie rozstaie z tobą z takim smutkiem iak gdybyś był własném dzieckiem moim; sam nie wiem, dla czego cię tak kocham, choć zdaie mi się że to z tój saméj przyczyny z iakiéy kochałem tego narownego konia, którego znasz, tego małego karego konia, którego pan mój, rycerz z Awenelu, nazwał szatanem, a pan Warden Seytonem, mówiąc,

że nie należy nadawać stworzeniu nazwisko xięcia piekieł.

— A jeszcze mniey przystało, zawołał Roland, nadawać krnąbrnemu koniowi nazwisko szlachtetney familii!

— Może to bydz panie Roland, lecz Seyton czy szatan, był to koń którego z całej stayni lubilem naybardziéy; nie zasnął nikt na iego grzbiecie: skakał, wspinał się, brykał, podsadzał, gryzł, zmęczył jeźdźca a często i zrzucił na ziemię. I wierz mi, że jeżeli cię przenoszę nad wszystką młodzież którą znam, to dla tego, że masz podobne przymioty.

— Dzięki ci Adamie, wielkie dzięki za dobre mniemanie o mnie.

— Nie przeryway mi! nie przeryway! Mimo to wszystko? Szatan był wyborynym koniem. Lecz teraz nadam twoie imie dwom młodym sokółom, które chowam w Awenel. Nazwę iednego Roland, drugiego Groe-

mes, aby cię zawsze mieć przed oczyma; i dopóki Adam Woodcock żyć będzie, nie braknie ci nigdy przyjaciela. Podaj mi rękę mój dzieciuchu!

Roland uścisnął go czule, a sokolnik mówił dalej w ten sposób:

— Teraz, kiedy bez przewodnika masz się rzucić w świat, co nie jest rzecz bezpieczna, dam ci trzy rady. Pierwsza: nigdy nie dobywaj sztyletu bez ważnych powodów. Nie wszyscy noszą taką tarczę na brzuchu iak pewien opat, którego znasz. Druga: nie leć za każdą piękną dziewczyną, którą spotkasz, iak sokół rzucający się na drozda. Nie zawsze dadzą ci złoty łańcuch. A właśnie też oddaie ci twój łańcuch, nie pokazuy go, bo jest ciężki, a kruszec w nim kosztowny, i może ci się przydadź nie w iednym przypadku. Trzecia, i to będzie ostatnia: strzeż się flaszki. Ludzie rozsądnieysi od ciebie

nie raz utopili w niéy rozum, i mógłbym ci wyliczyć przykłady nie szuka-  
jąc daleko; lecz to na nic się nie przy-  
da, ponieważz ieśli zapomniesz twoich  
figłów, niezawodnie pamiętać będziesz  
o moich grzechach. Żegnam cię więc,  
moie kochane dziecię!

Roland polecił mu aby złożył od  
niego uszanowanie dawnéy iego pani,  
i wynurzył ile ubolewa nad tém, że  
ją obraził, zapewniając ją zarazem, że  
będzie usiłował tak sprawować się na  
świecie, iż nie zarumieni się za opiekę  
mu udzieloną.

Zjadłszy śniadanie z dobrym apety-  
tem, sokolnik uściskał młodego towa-  
rzysza, po czém wsiadł na konia, któ-  
rego przyprowadził mu służący pała-  
cowy, iuż okulbaczzonego. Oddał się  
zwolna i posępnie, i oglądał się czę-  
sto, iak gdyby chciał złączyć się z mło-  
dzieńcem, którego musiał opuścić; od-  
głos tententu konia odzywał się

w głębi duszy Rolanda, czującego, że znowu po drugi raz znajdzie się sam, opuszczony wśród świata.

Michał Szybkie-skrzydło wyrwał go z tych dumań, przypominając, że powinien natychmiast pójść do pałacu, gdyż reient ze zgromadzeniem wcześniej ma się jadać na radę. Wyszli więc, a stary domownik faworyt, który miał łatwiejszy przystęp do reienta, niżeli wiele osób wyższego stopnia, wprowadził Rolanda przez skryte schody, do małego pokoju, gdzie się znajdował naczelnik rządu Szkocyi.

Hrabia Murray był w ciemnym szlafroku w czapce i pantoflach z téż samą materji; lecz choć w takim ubiorze, miał iednak szablę u boku; ostrożność tę zachowywał zawsze, bardziéj przez wzgląd na przestrogi swych przyjaciół i stronników, niż z obawy. Skinieniem głowy odpowiedziałwszy na uniżony ukłon Rolanda, przeszedł się

dwa lub trzy razy po pokoiu, rzucając nań przenikliwe weyrzenie, pragnące się wedrzeć w głąb iego duszy.

— Zdaie mi się, że się zowiesz Julian Groemes? rzekł mu nakoniec.

— Roland Goemes, milordzie; nie Julian.

— Tak, tak, to omyłka. Roland Groemes z gruntu spornego. Powiedz mi Rolandzie, czy umiesz służyć damie znakomitę?

— Powiniennem umieć milordzie, wykonywałem tak długo te obowiązki przy lady Awenel; lecz pochlebiam sobie, że już ich wypełniać nie będę, gdyż rycerz z Awenelu przyrzekł mi...

— Milezenie! młodzieńcze; do mnie należy mówić, do ciebie słuchać i być posłusznym. Konieczną jest rzeczą, przynajmniej na jakiś czas, abyś wszedł w służbę damy, damy która nie ma sobie równy w całej Szkocyi; a przez



to, daię ci słowo rycerza i xięcia, o-  
tworzysz przed sobą zawód, mogący  
zadowolnić żądze naydumniejszego  
człowieka. Wezmę cię potém do mego  
domu, i dam ci urząd przy moim boku,  
albo ieżeli wolisz, dam ci dowództwo  
kompanii w moięj straży. Czy tak  
czy owak, iest to stopień, o który nay-  
dumniejszy z lordów kraiowych ubie-  
gałby się dla swego syna.

— Wolnoż mi się zapytać milordzie,  
komu mam uniżone usługi moje poświę-  
cić? rzekł Roland, widząc że Reient  
zdawał się oczekiwać odpowiedzi.

— Będziesz o tém wiedział w wła-  
ściwym czasie i mieyscu, odpowiedział  
Murray; lecz za chwilę późnięj, usił-  
ując zwyciężyć tajemny opór przeska-  
dzający mu wyrazić się iaśnięj, dodał:

— A potém, czemuż nie mam ci powie-  
dzieć, weydziesz w służbę bardzo do-  
stoinęj.... bardzo nieszczęśliwęj da-  
my... Maryi szkockięj.

— Królowéy milordzie! zawołał paż nie mogąc wstrzymać tego okrzyku zadziwienia.

— Téy, która była królową, odpowiedział Murray tonem przedstawiającym szczególniejszą mieszaninę kłopotu i nieukontentowania. Powinieneś o tém wiedzieć młodzieńcze, że syn iéy rządzi w iéy mieyscu.

Mówiąc to westchnął, ze wzruszeniem częścią prawdziwém częścią udaném.

— I będę służył iéy w więzieniu, milordzie? zapytał Roland z szczerą i śmiałą prostotą, która zmięszała nieco polityka.

— Ona nie jest w więzieniu, odpowiedział Reient gniewnym tonem; niech Bóg zachowa aby w niém była! Ona tylko opuściła kierunek spraw publicznych, usuwając się od świata, dopóki nowy stan rzeczy mocniéy ustalony, nie dozwoli iéy okazać się z

i zupełną wolnością, tak, aby złośliwi intryganci nie wzięli iéy za sprężynę swoich zamiarów. Dla téy to przyczyny, łagodniéy przydał reient, dając iéy orszak tak świetny o ile dozwala ustroń, w któréty żyje teraz, muszę posiadać zupełne zaufanie w osobach umieszczonych przy niéy. Widzisz więc, że będziesz miał razem do wypełnienia obowiązki bardzo zaszczytne same przez się, i masz uścić się z nich w ten sposób, aby zjednać sobie przyjaciela w reience Szkocyi. Mówiono mi, że iestes młodzieniec obdarzony szczególném objęciem, i widzę z twoich oczu, że poymiesz to wszystko co mógłbym ci powiedzieć w tym przedmiocie.

Znaydziesz w tém piśmie szczegóły twoich obowiązków. Naygłównieyszą rzeczą iest wierność. Rozumie się wierność dla mnie i dla kraiu. Będziesz więc czuwał nie tylko nad usiłowaniem,

któreby czyniono dla otworzenia związków z lordami stojącemi na czele band Zachodnich, iakoto: Hamiltonem, Seytonem, Flemingiem i wielu innemi, lecz nawet nad chęcią, którąby do tego celu okazywano. Prawda, że moja dostojna siostra rozmyślając nad nieszczęściami, które ściągnęli na to biedne państwo, zli doradcy, nadużywający niegdyś iéy zbytniéy dobroci, postanowiła nie mięszać się na przyszłość do rządów. Lecz iest moim obowiązkiem, iako działającego w imieniu króla, naszego młodego siostrzana, zapobiedz niebezpieczeństwu mogącemu wyniknąć z każdej zmiany, z każdego zachwiania się w iéy zamiarach. Będiesz więc czuwał z wielką starannością, nad tém wszystkiém, coby dawało poznać w méy siostrze chociażby najmniejszą chęć, bądź to opuszczenia uchrony, w której się znajduje w téy chwili, bądź też otworzenia związków zewnętrznych, a z tego

wszystkiego co postrzeżesz, zdawać będziesz sprawę naszéj matce, u którój ona mieszka. Jeśli iednakże twoie czuwania odkryją iaką rzecz ważną, rzecz przechodzącą proste podeyrzenie, nie omieszkay donieść mi o niéy natychmiast. Ten pierścień upoważni cię do wystania żołnierza z tą wiadomością... Teraz trzeba odjeżdżać. Jeśli jest w twoiéj głowie chociaż połowa poięcia, które oczy twoie okazują, zrozumiesz wybornie wszystko co ci powiedziałem, wszystko co mógłbym jeszcze przydać.... Służ mi wiernie, a iakem reient państwa, tak nagroda twoja będzie wielka.

Roland skłonił się z uszanowaniem i zabierał się do odeyścia, gdy hrabia dał mu znak do zatrzymania się.

— Daję ci wielki dowód zaufania, młodzieńcze, rzekł; ponieważ z całego orszaku méy siostry, ciebie tylko iednego sam wybrałem. Kobiety sama

przyjęła. Byłaby to za wielka surowość odmawiać iéy tego prawa, chociaż niektórzy mniemali, że było rzeczą niepodobną zezwolić na to. Jesteś młody i dorodny; pozyskay ich ufność, i obacz, czyli pod powierzchowną ich płci lekkomyślnością, nie ukrywają głębszych zamiarów. Jeżeli będą kopały minę, przygotuy przeciwminę. Z resztą postępuy z uszanowaniem dla twoiéy pani. Jest to xiężna, chociaż nieszczęśliwa; była królową, chociaż dziś nią nie iest. Miéy więc dla niéy wszelkie względy i cześć, mogącą się zgodzić z wiernością, którą winien iesteś tak mnie iak, królowi. Teraz żegnam cię. Jeszcze chwila, poiedziesz z lordem Lindesay, człowiekiem staréy daty, przykrym, lecz poczeiwym, choć nie posiadającym żadnego wychowania. Strzeż się go obrazić, gdyż iest niecierpliwy, a słyszałem, żeś skłonny do kłótni. Wymówił te słowa z u-

śmiechem, przydając poważniéyszym toném: Chciałbym aby poselstwo lorda, poruczoném było któremu panu z charakterem słodszyimi nie tak nieugiętym,

— A dla czegóż to milordzie? zapytał hrabia Morton wchodząc w téj chwili; rada tak postanowiła. Mamy aż nadto dowodów uporu téj pani, a dąb, który opiera się cięciu stalowéj siekiery, powinien bydz stracony toporem z prostego żelaza. Czy to jest iéy paż? Milord zapewne ci dał polecenia, młodzieńcze, i powiedział co masz czynić. Ja przydam iedno słowo: udaiesz się do zamku Duglasa, zdrada tam się nie może powieśdz. Pierwsza chwila, w którój ściagniesz podeyrzenie na siebie, będzie ostatnią twego życia. Krewny mój, Wiliam Duglas, nie lubi żartować, i ieżeli znajdzie przyczynę powątpiewania o twój wierności, buiać będziesz w powietrzę na murach zamku, wprzód nim

słońce zaydzie. Marya będzie także miała iałmużnika?

— Czasami ją odwiedzi Duglasie, czasami... Byłoby to za ostro, odmawiać iéy pociech duchownych, które uważa za konieczne do swego zbawienia.

— Jesteś zawsze zbyt miękkim milordzie. Jakto! chcesz aby xiądz powtórzył iéy skargi naszym nieprzyjaciołom w Szkocyi, w Rzymie, w Hiszpanii, przed Gwizyuszami, nie wiem gdzie na koniec?

— Przedsięwzięmiemy takie środki, hrabio, że nie będziemy się mieli czego obawiać w tym względzie.

— Uważay to dobrze milordzie; znasz co myślę o młodéy dziewczynie, któręy pozwoliłeś weyść do iéy służby; młodéy dziewczynie, z rodu, który więcéy niż iakikolwiek bądź inny, był zawsze nam nieprzyjaznym, a iéy przychylnym. Gdybyśmy się nie strzegli, dobrałaby sobie także pazia. Mówiono



mi, że stara szalona pielgrzymka katoliczka, na pół święta iak mówią, starała się wyszukać iéy podobnego szpaka. — Uniknęliśmy przynajmniéy tego niebezpieczeństwa Mortonie, i mamy w tém nawet korzyść, że umieścim przy niéy młodzieńca wychowanego u Glendinninga. Co do młodéy dziewczyny, o któręy mówisz, nie możesz wyrzucić że bierze biedną służącą zamiast czterech poważnych dworzan, w dżugich sukniach iedwabnych.

— Przebaczam iéy służebnę, zawołał Morton, lecz nie mogę znieść iakmużnika. Zdaie mi się że duchowni wszystkich sekt są do siebie podobni. Otóż Jan Knox: brał się z zapałem obalenia wszystkiego, a teraz czyż nie chce na nowo budować? czyż nie pragnie dumny stać się założycielem szkół i kolegi, z funduszów opactw i probostw, które szlachta szkocka zdobyła z orężem w ręku, czyż nie chce

wygnać iéy dzisiaj ztamtąd, iak pszczoły wypędzaią trutniów z ula?

— Jan iest człowiekiem pobożnym, rzekł reient, a iego zamiar iest owocem pobożnéy imaginacyi.

Wymówił te ostatnie słowa z pewnym rodzajem uśmiechu, tak, że trudno było zgadnąć, czy chciał potwierdzać plan reformatora Szkocyi, czy też go w śmieszność obrócić. Po czém obrócił się do Rolanda Groemes, iak gdyby przypominaiąc sobie, że iest nazbyt długo świadkiem ich rozmowy: rozkazał mu wsiadać na koni natychmiast, gdyż lord Lindesay był gotów oddawna. Paż skłonił się i wyszedł z pokoju.

Michał czekał na niego przy schodach i zaprowadził go na dziedziniec zamkowy; Roland znalazł tam swego konia iuż okulbaczonego, i dwudziestu iezdeów, których wódz nie mało się niecierpliwił.

— Czy to jest ta paziowska mała, na którą czekaliśmy tak długo? zapytał tonem gniewnym Michała. Lord Ruthwen przybędzie do zamku daleko prędzj od nas.

Michał odpowiedział mu, że reient zatrzymał młodzieńca dając mu instrukcyę.

— Dobrze! dobrze! rzekł wódz tonem pogardy; i wołając na iednego z orszaku, Ewardzie, rzekł mu, miéy oko na tego młodzika, niechay z nikim nie mówi.

Po czém zwrócił się do człowieka w pewnym wieku, która obok lorda Linktóry sam tylko orszaku, tworzyła z nim ku zdawał się kuność w powierzchwień słuźalca:— waniu i rysach. Nie-niego, śpieszmy w włosów, ubieliła stannie mamy czasu wało się że nie ma wię-

Gdy przebywali przł lat. Głos iego miał czas przypatrycy, postawa wysom barona, będącego wódz bardziéy z na-

Lata nagromadzone nad głową lorda Lindesay z Byres, nie zostawiły zbyt głębokich śladów swego przechodu. Jego postawa prosta i członki silne, okazywały, że jeszcze zdoła znosić trudy wojenne. Gęste brwi zaczynające siwieć, ocieniały mu czarne oczy pełne ognia. Oblicze jego tchnące surowością i wyrażające gwałtowne namiętności, czyniły straszniejszym jeszcze dwie szerokie blizny, skutki ran odebranych w bitwach. Na głowie miał szyszak stalowy bez hełmu, a czarna broda gdzie nie gdzie miał, gdyż lord Lindesay mu aż na piersi oddawna. Paź skłonił kaptan, który niepokoiu. abiem i złotem, Michał czekał na n — dach i zaprowadził go niegdyś iasną i zamkowy; Roland zi pokryła. Szabla konia już okulbacz i niezwykły wieliezdów, których że nie możnaby nią niecierpliwit uiąwszy oburącz (który

to broni już przestawano wówczas używać) wisała mu na wielkim pasie; rękojeść iéy sięgała lewego ramienia, a koniec ostrza dotykał się prawéy ostrogi. Trzeba było nadzwyczajnéy zręczności dla wydobycia iéy z pochwy, ponieważ nikt nie miał tak długiéy ręki, aby iéy dobyć zwyyczajnym sposobem. Jedném słowem, całe jego uzbroienie okazywało woioownika, niedbającego o powierzchowność aż do cynizmu, a ton twardy i pogardliwy z iakim przemawiał do podwładnych, nosił toż samo piętno nieokrzesańia.

Osoba postępująca obok lorda Lindesay na czele orszaku, tworzyła z nim zupełną sprzeczność w powierzchowności, postępowaniu i rysach. Nieco pozostałych mu włosów, ubieliła starość, chociaż zdawało się że nie ma więcéy nad pięćdziesiąt lat. Głos iego był słodki i uymiający, postawa wysmukła, nieco nachylona, bardziéy z na-

zwyczajenia niżeli przez skutek lat. Blade iego lica wyrażały przebiegłość i pojętność, oko było żywe choć pełne słodyczy, i wszystko okazywało w nim charakter spokojny i towarzyski. Jechał na małym koniu lekko noszącym i łagodnym, iakich używają zwykle damy i duchowni. Suknie miał z czarnego axamitu, czapkę i pióro tegoż koloru, przytwierdzone złotym medalionem, a całą iego zaczepną i odporną bronią, była maleńka szpada, którą nosił zapewne bardziéy dla okazania swego stopnia niż dla obrony.

Ten orszak, wychodząc z miasta, zwrócił się ku zachodowi. Roland pragnął dowiedzieć się o celu poselstwa lorda Lindesay: gdyż widoczną było rzeczą, że musiał odebrać iakieś zlecenie; lecz postać towarzysza, przy którym iechał, nie zachęcała go do poufałości. Sam nawet baron nie miał

dzikszey i bardziy odrażaiący twa-  
rzy iak iego wierny Edward, którego  
wasy siwe spadały na usta iakoby  
brona przed bramą zamku, aby ża-  
dne słowo nie wyszło z nich bez  
potrzeby. Podobny duch milczenia  
resztę orszaku ogarnął; iechali ra-  
czey iak zgromadzenie kartuzów, ni-  
żeli iak oddział żołnierzy. Tak su-  
rowa karność zdziwiła Rolanda Groe-  
mes, bo chociaż rycerz z Awenelu  
zaprowadził pomiędzy swoich ludzi  
wielki porządek i karność, przecież ka-  
żdy pochód był chwilą swobody, pod-  
czas który wolno było śmiać się, rozma-  
wiać, śpiewać; słowem, rozpędzać nu-  
dy podróży tem wszystkiém, coby nie-  
przechodziło granic uczciwey wolno-  
ści. To milczenie tak dla Rolanda nie-  
zwykłe, dało mu czas do zastanowienia  
się nad swoim położeniem, które w  
oczach rozsądnego człowieka okaza-

łoby się nayniebezpieczniéyszém i naytrudniéyszym.

Widoczną było rzeczą że przez zbieg okoliczności niezależących od iego woli, wszedł w sprzeczne związki z dwoma nieprzyjaznemi stronnictwami, których nienawiść rozdziera królestwo, chociaż sam, mówiąc prawdę, nie był przywiązany ani do iednego ani do drugiego. Również iasną zdawało się rzeczą, że miéysce w orszaku zrzuconéy z tronu królowéy które mu dał reient, było temże samém, które przeznaczala mu iego babka Magdalena Groemes; ponieważ kilka słów wyszłych przypadkiem z ust hrabiego Mortona, w rozmowie z Murraiem, rzuciły w tym względzie promień światła; iednakże oczywista jest rzecz, że Murray iako iawny nieprzyiaciel, Magdalena, iako zapalona obroicielka religii katolickiéy, ieden stojący na czele nowego rządu, druga poglądaiąca na ten



rząd iako na zbrodnicze przywłaszczenie, żądać będą i oczekiwać bardzo odmiennych usług od człowieka, którego oboje wystali na toż samo stanowisko. I bez głębokich rozmyślań, można było przewidzieć, że te sprzeczne żądania, postawią go wkrótce w położeniu krytycznym dla iego honoru, a niebezpiecznym dla iego życia. Lecz Roland nie umiał przewidywać nieszczęść wprzód nim się zdarzyły, i przedstawiać sobie trudności, bez koniecznej potrzeby, iedynie dla tego, aby ie zbić.

— Obaczę, myślał sobie, tę piękną i nieszczęśliwą Maryą Stuart, o której tyle słyszałem, a wtenczas dosyć będzie czasu do namysłu, czy mam chwycić się strony króla, czy królowej. Ani ieden, ani druga nie mogą mi zarzucić, żem dał iakie przyrzeczenie, żem się zobowiązał iakiem bądź słowem; ponieważ oboje poprowadzili mnie na oślep, nie

dawszy mi najmnieyszego objaśnienia czego wymagaia odemnie. Lecz szczęściem iest dla mnie, że ten Morton przywłókł dziś rano swoię pochmurną figurę do gabinetu reienta, inaczey, byłby mi przecie nie pozwolił odjechać bez przyrzeczenia z méy strony, że się będę stosował do wszystkich iego rozkazów; a z resztą zdaie mi się, że nie bardzo szczerze postępuie z tą biedną królową dając iey do boku paza, któryby ią szpiegował.

|| Płochy pomyślawszy o rzeczy tak ważnéy, młody roztrzepaniec zwrócił swoje myśli na przyjemnieysze przedmioty. Przyglądał się z uwielbieniem, gotyckim wieżom Barnbuglu, wznoszącym się na skale nadmorskiéy, z kąd naywspanialszy iest widok w całéy Szkocyi, na czarowne okolice. Jużto zastanawiał się, czy okolice które przebywali, dogodne są do polowania z psami lub sokołem; iużto poró-

wnywał powolny i iednostayny pochód orszaku, z szybkością z iaką przebiegał dawniéy wzgórze okolic Awenelu. Uniesiony tém wesołym wspomnieniem, spał konia ostrogami tak, iż rumak wyskoczył z szeregu; lecz Edward, otwierając usta po raz pierwszy, wypalił mu poważne kazanie, aby trzymał się porządku i iechał spokojnie, albo że przeciw iego szalonym skokom wynaydą sposób, który mu pewno nie przypadnie do smaku.

To połaianie i milczenie do którego Roland był przymuszonym, przypomniało mu iego przewodnika i towarzysza Adama Woodcock, zawsze zgodnego, zawsze wesołego. Sokolnik zawiódł iego wyobraźnię aż do zamku Awenel. Przypomniał sobie życie wolne i spokojne w tym zamku, niewyczerpaną dobroć opiekunki swoiéy młodości, a nawet wszystkich domowników i słuźalców, w stayniach, psiarni

i sokolarni. Lecz wszystkie te myśli ustąpiły wkrótce miejsca innéy, wspomnieniu Katarzyny Seyton, téy nieodgadnionéy zagadki; która się ukazywała iego umysłowi iuż taką iaką widział u lorda Seyton i w klasztorze Świętéy Katarzyny, iuż też w purpurowym ubiorze pазia, iuż nakoniec okryta fantastyczną szatą, łączącą ubiór płci oboiéy, iak niekiedy sen dziwny wywołuie nam przed oczy iedną istotę pod dwoma różnemi charakterami. Dar tajemniczy otrzymany od niéy, nasuwał się także iego pamięci: ta szabla, którą miał przy boku, a któręy przyrzekł nie dobywać z pochwy, chyba na rozkaz prawéy monarchini. Lecz tajemnica ta nie długo trwać będzie, i zapewnie ją odgadnie przy końcu podróży. Takimi to zaięty myślami, Roland Groemes, iechał za lordem Lindesay aż do małéy odnogi morskiéy, którą przebyli na przygotowanym dla

nich statku. Lecz gdy odbiiano od  
lądu, dano do nich ognia z murów  
starego zamku Rdsythe, leżącego na pół-  
noc odnogi: pan téy warowni był nie-  
przyjacielem lorda Lindesay. Wystrzał  
był tylko ieden i nieszkodliwy nikomu;  
lecz okazał zemstę i nieprzyjaźń. Lord  
Lindesay nie chciał się mścić za tę znie-  
wagę; wylądowano na drugi brzeg, i  
żaden wypadek nie zmieszał dalszég  
ich podróży; zakończyła się na brze-  
gach jeziora Lochleven, którego gład-  
ka powierzchnia odbiała świetne pro-  
mienie letniego słońca.

Starożytny zamek wznoszący się na  
wyspie oblanéy jeziorem, przywiódł  
na myśl paziowi mury Awenelu. Lecz  
to jezioro, było daleko obszerniejszém  
i znajdowało się na nim wiele wysp,  
prócz téy, na którój stała warownia.  
Awenelskie jezioro otaczały góry ze  
wszech stron; to zaś, tylko od połu-

dnia miało wzgórze kończące łańcuch Ben-Lomondu; ze wszystkich innych stron rozciągały się obszerne i żyzne doliny Kinrossu. Roland poglądał z podziwieniem na zamek, składający się tylko z wielkiego budynku podobnego do więzienia stanu, otoczonego obszernym podwórzem, z dwoma wzniosłemi wieżami na rogach; wewnątrz kępa drzew starożytnych, rosnąca w bliskości zamku, nieco przerywała ponurość, którą wszystko oddychało w tém miejscu; iednakże paż rzucając oczyma na ten budynek, oddzielony w pewnym względzie od reszty świata, westchnął nad losem władczyni, zmuszonej żyć w podobnym ustroniu, i ubolewał zarazem nad własnem przeznaczeniem.

Musiałem się urodzić, pomyślał sobie, pod gwiazdą przewodniczącą damom i ieżiorom: gdyż zawsze służyć iednym, a mieszkam w pośrodku dru-

gich. Lecz jeżeli myślą zamknąć mnie w tych wieżach i zabronić wyścia wolnego, myślą się mocno; podobnie by chcieli na próżno zamknąć w nich stado dzikich kaczek, iak młodzieńca przyzwyczajonego do pływania iak one.

Gdy cały orszak uszykował się nad brzegiem, rozwinięto sztandar lorda Lindesay, wstrząsając nim w powietrzu na prawo i na lewo, a on sam uderzył w róg myśliwski. Odpowiedziano na ten znak wywieszając chorągiew na murach zamku, i dwóch ludzi zaczęło spychać na wodę, łódź leżącą na przeciwnym brzegu.

— Nie mało czasu upłynie nim ta łódź przybędzie do nas, rzekł sir Robert: czy niemożnabywstąpić do którego domu wiejskiego dla uporządkowania naszego ubioru wprzódy, nim stanjemy w zamku?

— Czyń co ci się podoba sir Robertcie, odpowiedział Lindesay: co do

mnie, nie mam ani czasu ani chęci do myślenia o takich próżnościach. Ta kobieta nie raz była przyczyną żem musiał dosiadać konia; a widok przetartego kaftana, i zardzewiałéy zbroi, nie powinien razić iéy wzroku. Ona to przywiodła Szkocya do noszenia téy liberyi.

— Na cóż mówić z taką surowością? rzekł sir Robert: błędy swoje opłaciła już zbyt drogo, a ogołacając ją z władzy, niestusznie byłoby odmawiać iéy powierchownych zaszczytów, należnych kobiecie i więźnie.

— Powiadam ci sir Robercie, czyn co ci się podoba: co do mnie zbyt jestem stary, abym myślał o podobaniu się damom w ich budoarze.

— W ich budoarze, milordzie! Czyż temu samotnemu i starożytnemu zamkowi, którego wszystkie okna opatrzone krętami, przeznaczając go za więzienie królowéy, nadaiesz to nazwisko?



— Nazwij go iak ci się podoba, sir Robertcie: gdyby reient chciał wysłać mówcę zdolnego prawie stodycze uwięzionéy, znalazłby wśród dworu nie iednego galanta, chciwego popisywać się z pięknemi słówkami wyjętymi z *Amadysa* albo z *Rycerskiego zwierciadła*. Lecz gdy na to wybrał starego Lindesaia, hrabia Murray wiedział, że mówić będą tak, iak tego wymagaia dawne błędy i obecne położenie téy kobiety. Nie starałem się o to zlecenie; narzucono mi ie w pewnym względzie, więc nie myślę wypełniać go z ceremoniami. Po tych słowach, lord Lindsay zsiadł z konia i obwinawszy się płaszczem rozciągnął się na trawie, oczekując przybycia łodzi, która iuż pruća wody jeziora. Sir Robert Melwill, także przechadzał się po nad brzegiem z założonemi na pierśiach rękoma, spoglądaiąc na zamek smutnie i niespokoinie. Reszta orsza-

ku, stojąc iak wryta, podobną była do konnych posągów, a nawet nie poruszały się końce ich włoczni błyszczące od słońca.

Skoro łódź zbliżyła się do brzegu, lord Lindesay podniósł się i zapytał czemu nie spuszczone obszerniejszy łodzi mogący objąć wszystkich ludzi iego orszaku.

— Pani nasza, odpowiedział wiosłarz, rozkazała nam aby nie sprowadzać do zamku więcej nad cztery osoby.

— Twoja pani iest mądra rzekł lord Lindesay: śmiałażby mnie posądzać o zdradę? Gdybym był zdraycą, niemógl-żebym wrzucić ciebie i twoich towarzyszów w iezioro, i wsadzić do łodzi tyle moich ludzi ile pomieścić może.

Słyszac te słowa wiosłarz skinął na swoich towarzyszów, i wszystkiemi wiosłami zaczęto robić, dopóki łódź nie zatrzymała się w takiéy odległości

iż mogła bydź bezpieczną od pogrózek barona.

— Cóż to iest! zawołał Lindesay, co ty robisz? czyż mniemasz, że istotnie chcę utopić twoię głupią figurę? No, słuchay mnie; nie wsiądę na statek, nie mając przy sobie przynajmniéy trzech moich ludzi: sir Robert Melwill powinien wziąć swego słuźącego: przybывamy w ważnéy sprawie, i jeżeli wzbraniaasz nam przewozu przez jezioro, czynię cię odpowiedzialnym równie iak twoię panią!

— Wioslarz odpowiedział ze stałością, i tak grzecznie iak umiał, że mu rozkazano przewieźć na wyspę naywięcéy cztery osoby, i że nawet piątęy nie zabierze; chce iednak wrócić do zamku po nowe rozkazy.

— Śpiesz, rzekł sir Robert Melwill (na próżno staraiąc się nakłonić upartego towarzysza, aby się udali we cztery osoby) wróc do zamku, kiedy

inaczey bydz nie moze, i niech twoia pani rozkaże przewieźć lorda Lindesay i sir Roberta Melwill z ich orszakiem.

— Jeszcze chwilę! zawołał Lindesay: weź tego pazia i uwolnij mnie od iego obecności. — Daléy młodziku zsiadaj z konia i ruszaj na przeznaczone ci mieysce.

— A cóż się stanie z moim koniem? rzekł Roland, iestem za niego odpowiedzialnym moiemu panu.

— Ja o nim będę miał staranie, rzekł Lindesay: i za dziesięć lat nie będziesz potrzebował konia.

— Gdybym był wiedział.... rzekł Roland.

Sir Robert Melwill przerwał mu, przemawiając ze słodyczą: — Bądź posłusznym młody mój przyjacielu; opór na nicby się nie przydał, i mógłby stać się niebezpiecznym.

Roland Groemes uczuł słuszość téy.

uwagi, i chociaż niekontent z tego, co powiedział mu Lord Lindesay, ulegając konieczności, wsiadł na statek. Wioslarze wzięli się do pracy natychmiast: żołnierze stojący na brzegu zdawali się oddalać od niego kiedy przeciwnie zamek zbliżał się w tymże samym stosunku. Wreście przybito do lądu blisko starożytnego drzewa, które oznaczało zwykłe miejsce wylądowania. Roland w towarzystwie dowódcy statku, wyskoczył na brzeg, a inni oparli się na wiosłach, gotowi byli od płynąć za pierwszym rozkazem.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

